Nr. 103. Lwów — Piątek dnia 6 Maja. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 6 ct.
na prowincyi . . . [illegible]
Numera z poprzednich dni po [illegible] ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: Śr. św. Jana w Oleju. Jutro: Sob. św. Domiceli P. | Sawwy M. Marka Jew. | Adres Redakcyi i Administracyi **Ulica Sykstuska l. 45.** | Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.* | Wschód słońca o 4 m 40, Zachód „ 7 „ 14 | Długość dnia g. 14 m. 16. Przybyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 5 maja.

W Wilnie postanowiono założyć Muzeum Murawjewa. Komunikat jeneralnego gubernatora tak uzasadnia potrzebę owej instytucyi: „Świadków działalności hrabiego Murawjewa coraz mniej w kraju, szczególy jego pracy zwolna się zacierają w ludzkiej pamięci, przywalone kwestyami dzisiejszej doby. Jednocześnie zaś gorliwie pracuje nienawiść nad zohydzeniem pamięci Murawjewa, rozrasta się, szerzy we wszystkich sferach, mając do pomocy rozmyślne kłamstwo o zapomnianej przeszłości. Tajemni drogami przenika ta nienawiść wszędzie, przedstawiając działalność hrabiego krzywo. Niestety, robota ta nie jest daremna. Nawet Rosyanie głoszą już, że polskie powstanie na Litwie było bardzo słabe, a w kowieńskiem wcale go nie było. Być może, poczną niebawem dowodzić różni ludzie, że buntu w gruncie rzeczy nie było, lecz że wszystkie środki przeciwko niemu przedsięwziął hrabia dla własnej przyjemności. Tak zwolna gaśnie aureola, otaczająca dotąd myślącą i wspaniałą głowę znakomitego pracownika na rosyjskiej niwie. Aby ta aureola znowu zajaśniała przed oczami współczesnych Rosyan, a dla wszystkich innych była przypomnieniem i ostrzeżeniem, trzeba, aby każdy mógł gruntownie wystudyować działalność hrabiego, nie z książek o nim, lecz z jego własnych aktów i listów, ze wszystkiego, do czego on rękę przyłożył. Akta spoczywają w archiwach, dostępnych dla niewielu, a inne pomniki działalności hrabiego znajdują się rozsiane po kraju. Trzeba to wszystko zebrać w jednem miejscu, aby studya były ułatwione. Dlatego właśnie jeneralny gubernator postanowił założyć „Muzeum Murawjewa“. W niem znajdzie się całe archiwum murawjewowskie, biblioteka, złożona z wydawnictw popieranych przez hrabiego, dzieła i dziennikarskie artykuły o nim, oraz o wypadkach od 1863 do 1865, portrety jego pomocników, fotografie cerkwi i kaplic prawosławnych wzniesionych przez niego, oraz wszelkie inne dokumenty, odnoszące się do urządzeń państwowych i społecznych, powołanych do życia przez hrabiego. Osobny dział utworzą portrety hrabiego i jego pomocników, obrazy, przedstawiające sceny z lat 63 do 65, wreszcie różne przedmioty, mające jakąkolwiek styczność z pobytem hrabiego w Wilnie. Takie muzeum będzie wspaniałym pomnikiem, który uwieczni imię wielkiego syna Rosyi, a zarazem będzie ono ogromnym wspomnieniem znaczenia dla wielu Rosyan, którzy zwiedzając ten przybytek, poznają, jak ciężkie było położenie kraju, i jak olbrzymiej pracy trzeba było, żeby Murawjew powołał Litwę do nowego, odrodzonego życia na tej jedynie pewnej pod względem historycznym podstawie, że jest to kraj odwiecznie rosyjski. Takie studya niezwykle uwydatnią wielkość tego bohaterskiego czynu Murawjewa, ale nadto wyrobią trafny pogląd na przyszłe kierunki, którymi Rosya iść powinna w tym kraju, by w nim spełnić historyczne zadanie“.

A więc historycznem zadaniem Rosyi jest ciągle utrzymywać na Litwie erę Murawjewa. Spodziewamy się tedy, że w tem muzeum, w liczbie innych „przedmiotów, mających styczność z pobytem hrabiego w Wilnie“, znajdzie się kilka tysięcy szubienic, oblanych krwią niewinnych ludzi, znajdą się stryczki, które on sam przywoził na plac tracenia, znajdzie się bykowiec z żelaznymi pazurami, którym on sam, w lochach wileńskiej cytadeli, bił kobiety i dzieci, zmuszając je do zeznań takich, jakie chciał otrzymać. Lecz nie! To muzeum będzie urządzone tak bezstronnie, jak bezstronnem jest twierdzenie, zawarte w komunikacie, iż Litwa jest odwiecznym krajem rosyjskim. Nie znajdą się w niem także liczne dowody nieposłuszeństwa Murawjewa carowi, który choć był bardzo zawzięty na Polaków, przecież czasami przerażał się czynami jego. W tworzeniu takiego muzeum widzimy wpływ prądu rewolucyjnego, ubranego w mundur czynowniczy, bo rewolucyą jest wszystko, co fałsz i okrucieństwo stawia na piedestalu i co drażni. Skrzepła krew pokrywa karty dziejów litewskich pod kańczugiem Murawjewa. My na te karty patrzymy z bólem serdecznym i z tą bezstronną surowością, do jakiej może żaden naród w takiej mierze nie jest zdolny; Rosyanie powinni na nie patrzeć tylko ze wstydem. Przeminęły te krwawe czasy i po cóż je wskrzeszać, jeżeli trzeba żyć razem? Komunikat jeneralnego gubernatora powiada, że muzeum będzie instytucyą wychowawczą dla Rosyan, a dla „wszystkich innych przypomnieniem i przestrogą“. Lecz dla tych „innych“ może on także być przypomnieniem tego faktu, że żadne okrucieństwo, otaczane kadzidłami z rządowych trybularzy, nie pozostało bez kary, która spadła na państwo, — przypomnieniem tego, że poprzednik Murawjewa książe Alba nie zabezpieczył hiszpańskiego panowania w Niderlandach. Po trzydziestu pięciu latach podnosi się nad Litwą jeżeli nie sam Murawjew, to jego widmo: patrzyć ono będzie na kraj ze spiżowego pomnika i z muzeum. Czy to ma być rządową wskazówką, że wracają jego czasy? My nic nie mamy przeciw otaczaniu nas takiemi wspomnieniami, bo one rzeczywiście wychowują i hartują. Gdyby jakimś cudem Wilno stało się naszem, gdyby nad niem powiewała chorągiew polska, zachowalibyśmy i ten pomnik i owo muzeum, jako memento. Lecz że Rosyanie chcą nas kłóć temi wspomnieniami, to może tylko dziwić.

Wzmaga się burza w prasie rosyjskiej przeciw „najnowszemu kursowi“ międzynarodowej polityki Niemiec, którym zarzuca ona to, że bierze w ekonomiczną niewolę sułtana i jego państwo. Zdarzyło się niedawno, że bardzo licznym kolonistom niemieckim w Syryi i Libanie — gdzie ich jest podobno przeszło sto tysięcy — sułtan, czyniąc zadość naleganiom dyplomacyi niemieckiej, przyznał wyjątkowe prawa własności z krzywdą własnego duchowieństwa. Mianowicie, ci koloniści osiedli jako czynszownicy na dobrach duchownych, na tak zwanych „wakufach“. Płacone przez nich teragium było jedynym dochodem mułłów. Ale ci czynszownicy, wezwani przez szeik ul-islama jeszcze w 1880 roku, już zasiedzieli swe grunta i teraz zapragnęli być ich właścicielami. Sułtan tedy wydał iradę, zmieniającą zajęte przez nich grunta „wakufowe“ na grunta „mulk“, to znaczy świeckie, należące wyłącznie do tych, przez których są uprawiane. Mułłowie stracili w ten sposób swą własność, co mógł uczynić sułtan, jako kalif, t. j. naczelny zwierzchnik wyznania muzułmańskiego, i zarazem jako despota azyatycki. Oczywiście duchowieństwo zaszemrało, a Rosya stanęła po jego stronie, szepcząc przez swych agentów ludowi, że ona jest jego opiekunką. Lecz teraz doniosły rosyjskie dzienniki o nowych zabiegach Niemiec. Oto, chcą one podobno wydzierżawić, jak Kiao-Czau w Chinach, jakiś port turecki na wybrzeżu Syryi. Takie pokojowe zawojowywanie Azyi Mniejszej przez Niemców, którzy zupełnie omotali sułtana, gniewa Rosyan, bo oni zdawna nawykli uważać owe ziemie za swe w przyszłości dziedzictwo, ale gdyby nawet tak nie było, to już samo opanowywanie przez Niemców tureckiego rolnictwa handlu, przemysłu, kolei, banków, stanowisk w wojsku i na różnych urzędach, wprowadza do monarchii ottomańskiej nowy czynnik, z którym Rosya musi się liczyć, ponieważ już żaden Bismarck nie powie, że Turcya jest dla Niemiec Hekubą. Poruszono tę sprawę i we Francyi, która zdawna ma ważne handlowe interesa w Syryi i uważa ten kraj za należący do swojej sfery wpływów. Pokojowy najazd Niemców na Turcyę, zwłaszcza azyatycką, odbywa się podług mądrze obmyślonego planu, który w znacznej części jest już przeprowadzony. Niewątpliwie wyniknie z tego ważna kwestya i dlatego tej sprawie poświęcimy osobne studyum.

O wojnie hiszpańsko-amerykańskiej i o wrzeniu w samej Hiszpanii podają telegramy w lot każdą wiadomość. Z nimi rywalizować na tem miejscu nie możemy, pozostaje nam tylko zapisywać szczegóły, pominięte w depeszach. Więc jednym z ważnych szczegółów boju morskiego na wodach filipińskich jest domysł bardzo prawdopodobny, że czyjaś zdrada pomogła Amerykanom do zwycięstwa pod Cavitą, zaczem poszło już dokonane częściowe zajęcie stolicy Filipinów, Manili. To miasto leży w głębi zatoki, kształtem podobnej do pękatej butelki. Wjazd z oceanu do zatoki odbywa się przez cieśninę podobną do wąskiej szyi, która dlatego też nazywa się Corregidor. W środku tej cieśniny, blizko północnego brzegu leży wysepka San José, posiadająca silny fort; naprzeciw niego, na północnym brzegu, wznosi się drugi fort — Marinales. Między tymi fortami ciągnie się pas wody, wązki jak zwykła rzeka. Tu Hiszpanie nie położyli torpedów, aby zachować dla siebie swobodną komunikacyę, natomiast czterema szeregami torpedów zagrodzili drugą część cieśniny, między wysepką San José a południowym brzegiem. Kto z oceanu wpłynie do cieśniny i minie wysepkę San José, ten trafi na fort S. Crux, potem na duże fortyfikacye Cavity, a zaraz za niemi ma już Manilę, która jak Wenecya rozsiadła się na brzegu i na mnóstwie wysepek. Otóż ośm olbrzymich pancerników amerykańskich przepłynęło przez cieśninę Corregidor między wysepką San José a północnym brzegiem, t. j. właśnie tam, gdzie nie było torpedów. Odbyło się to w nocy. Przed Cavitą stało pięć okrętów hiszpańskich, a wszystkie drewniane. Zasłaniały one Cavitę, z której zatem strzelać było niepodobna. Po spaleniu floty hiszpańskiej, Amerykanie rzucili się na bezbronne wysepki dokoła Manili i spalili na nich 3 tysiące domów. Na zgliszczach zatknięto gwiaździstą chorągiew Stanów. Sama Manila, otoczona murem, jak cytadela, pozostała w rękach Hiszpanów. Przewodnikiem floty amerykańskiej przez cieśninę Corregidor mógł być tylko ktoś ze zbuntowanej kolorowej ludności wysp filipińskich.

W samej Hiszpanii wzmagają się wewnętrzne rozterki i rośnie prąd republikański. Przyczynił się do tego urządzony przez agitatorów obchód rewolucyi 2 maja 1808 roku. W owym dniu przed 90-ciu laty Madryt powstał przeciw narzuconemu Hiszpanii przez Napoleona I królowi Józefowi Bonaparte, ale Murat po okrutnym przelewie krwi stłumił ten rokosz. Niemniej jednak od tej chwili zaczęła się walka narodu z francuskim najeźdźcą, zakończona wypędzeniem Francuzów z kraju. Obchód tej rocznicy potrzebny był republikanom do roznamiętnienia uczuć i to oni osiągnęli.

Dipauli.

Piszą nam z Wiednia, 4 maja:

Wczorajsza mowa barona Dipaulego sprawiła jeszcze silniejsze wrażenie, niż mowa ks. Liechtensteina. Ten bowiem właściwie uzasadniał tylko stanowisko, które tak zwane stronnictwo chrześcijańsko-socyalne zajmuje już od roku. Natomiast mowa barona Dipaulego oznacza dalszą ewolucyę niemieckiego stronnictwa katolickiego w kwestyi językowej. Na wytłomaczenie tego zwrotu nie potrzeba żadnych sztucznych naciągań. Frakcya barona Dipaulego była i jest katolicką, konserwatywną, umiarkowano-autonomiczną, ale zarazem niemiecką, bo składa się wyłącznie z posłów niemieckich, wybranych wyłącznie przez wyborców niemieckich. Ztąd logicznie wynika, 1) że to stronnictwo nie może się ściśle łączyć z żadnemi stronnictwami antikatolickimi, mniejsza o to, czy one występują pod hasłem protestantyzmu, husytyzmu lub ateizmu, 2) że zawsze łatwo będzie sprzymierzać się z niem na podstawie austryacko-konserwatywnej i umiarkowano-autonomicznej, 3) że jednak w czysto narodowościowym, czy językowym zatargu, jakim jest niemiecko-czeski, stronnictwo to wolne zresztą od wszelkiego szowinizmu narodowego, skłaniać się będzie raczej ku stronie niemieckiej, niż czeskiej. Nikogo to nie może zadziwić. Pewien ambasador angielski w Petersburgu, którego król Fryderyk II napastował ciągle swemi instrukcyami i poleceniami, zniecierpliwiony, napomniał nareszcie króla pruskiego, aby nie zapominał, iż on nie jest ambasadorem pruskim, lecz angielskim! Tak samo baron Dipauli jako poseł niemiecki odpowiada: „Naszej taktyki politycznej nie pozwolimy sobie narzucać przez dzienniki, najmniej przez *Narodni listy*“.

Doniosłość wczorajszych wywodów p. Dipaulego zasadza się na tem, że komisyi językowej, której wybór dziś stał się o wiele prawdopodobniejszym, zakreśla zadanie praktyczne: rozwiązanie sporu czesko-niemieckiego. „Komisya językowa — oświadcza p. Dipauli — może uchwalić ogólne zasady (Rahmengesetz), może się zająć kwestyą ochrony narodowych mniejszości, ale może także ograniczyć się do tej kwestyi (niemiecko-czeskiej), która jest obecnie causa litis“. Oświadczywszy się w dalszym ciągu swych wywodów przeciwko wprowadzeniu niemieckiego języka państwowego, czego także ks. Liechtenstein nie domagał się wyraźnie, baron Dipauli dochodzi do konkluzyi, że będzie najlepiej, „aby komisya ograniczyła się do załawienia palącej dziś kwestyi (w Czechach), a resztę odłożyła na przyszłość“. W tej konkluzyi baron Dipauli zupełnie zgadza się z naszemi poglądami. A, rzecz ciekawa, jako sumienny poseł, p. Dipauli odczytał znane protokoły sejmu kromierzyckiego i właśnie tam zaczerpnął przekonania, jak trudną i jałową pracą byłoby zajęcie się odrazu uporządkowaniem całej kwestyi językowej w Austryi. W głównej rzeczy poglądy p. Dipaulego zupełnie się zgadzają z naszym narodowym interesem.

Na tle zatargu niemiecko-czeskiego p. Dipauli wczoraj posunął się o krok dalej, wyrażając w imieniu swego stronnictwa zdanie, że także rozporządzenia barona Gautscha mogłyby być zniesione natychmiast. To też obiega wieść, że stanie się to już dzisiaj, gdy według innych doniesień prezes gabinetu świeżo oświadczył jednemu z posłów niemieckich, że nie zniesie rozporządzeń, dopóki pomiędzy Czechami a Niemcami nie nastanie zasadnicze porozumienie. Ta druga wiadomość więcej się zgadza z deklaracyami, które hr. Thun wygłosił na początku rozpraw językowych. Dla nas jest to kwestya podrzędna, byle tak czy tak usunięte zostały przeszkody, które dotąd uniemożebniają prawidłową pracę parlamentu.

Równie dobitnie, jak ks. Liechtenstein, także br. Dipauli ostrzega przed — absolutyzmem, który „mógłby jedynie wzmocnić socyalną demokracyę i radykalizm“, któremu więc nie mogą sprzyjać ci, „którzy pragną zachować państwo i społeczeństwo“. Absolutyzm tam, gdzie jest samorządną i historyczną formą państwową, np. w Chinach, może bardzo długo zabezpieczyć ład społeczny i polityczny. Przywrócony w państwie, przywykłem od lat 40 do konstytucyjnych urządzeń, musiałby sprowadzić straszną katastrofę. W takiem państwie parlament nie jest środkiem radykalizmu, lecz pożytecznym wentylem. Socyalna demokracya zarówno jak anarchizm, pod powierzchnią absolutyzmu rozwijałaby tem skuteczniejszą propagandę podziemną. Tymczasem zdrowe żywioły społeczne i polityczne zostałyby pozbawione wszystkich środków skutecznego przeciwdziałania tej propagandzie i obrony ładu społecznego. Dlatego obecnie, pomimo wszelkich wykolejeń, jak zeszłoroczne w Austryi, parlamenty są najpotężniejszym środkiem obrony społecznej o którego utrzymanie i wzmocnienie starają się najgorliwiej żywioły zachowawcze, gdy ich zniesienia domaga się radykalizm — najgłośniej, jak wiadomo, znany anarchista rosyjsko-francuski kniaź Krapotkin. Precz więc z mrzonkami o przywróceniu absolutyzmu, po którym niektóre skrajne żywioły niemieckie spodziewają się zabezpieczenia germanizacyi, gdy niektóre naiwne żywioły czeskie w dziwnem zaślepieniu widzą w nim drogę wiodącą do — historycznego prawa Czech! Że tę prawdę tak silnie odczuwają właśnie ludzie, jak ks. Liechtenstein i baron Dipauli, jest to zjawiskiem pocieszającem.

Z mowy d-ra Pacaka, który zamiast Herolda, uzasadniał wniosek młodoczechów, nie łatwo wyprowadzić ścisłej konkluzyi. Polemika jego z ks. Lichtensteinem nie bardzo się udała. Że ks. Lichtenstein od 10 lat zmienił swe poglądy, nie ulega wątpliwości. Kto jednak odczyta mowy pp. Pacaka, Kramarza i t. d. z r. 1893 i 1894, ten także łatwo zdoła wynalazcom obstrukcyi zarzucić „niekonsekwencyę“. Co do palącej kwestyi, to p. Pacak stawia dwa warunki. Najprzód, że w całych Czechach każdy ma dostępować praw w swym ojczystym języku. Ten warunek uważamy jako słuszny. Natomiast drugi warunek, aby czescy urzędnicy władali obu językami krajowemi, jest przesadny, wynikający raczej z próżności narodowej, niż z rzeczywistych potrzeb. Nie możemy się też zgodzić z teoryą p. Pacaka, że Rada państwa może tylko uchwalić ustawę językową dla całej monarchii, albo żadnej. Rada państwa już często uchwalała ustawy wyłącznie dla pewnych prowincyi, jak n. p. ustawę o lichwie dla Galicyi, albo stan wyjątkowy dla Wiednia (z powodu zamachów anarchicznych) lub dla Czech (z powodu omladiny). To też dziś może się ona ograniczyć do ustawy, która przywróci spokój w Czechach.

Korespondencye.

Berlin, 30 kwietniu.

Ktokolwiek choćby przez kilka tygodni mieszkał w Berlinie, ten musiał się zapoznać z widokiem pędzących szybko dwóch wozów, którym z drogi ustępują inne wehikuły. Co chwila bowiem to zielony wóz, to znowu czarny przebiega tutejsze ulice. Jeden i drugi zatrzymuje się gdzieś na jakimś punkcie miasta i jeden i drugi otaczają wnet tłumy ludzi. Zachodzą jednak oprócz koloru i inne jeszcze różnice między obydwoma wozami. Oto gdy zielony wóz stanie przed jakimś domem, to w tłumie otaczającym go panuje hałas, wyrywają się gwałtowne okrzyki i widać wewnątrz tłumu szarpaninę. To jakiś złoczyńca walczy z organami publicznego bezpieczeństwa zanim się da wpakować do wozu, który go ma zawieźć do więzienia. Po daremnej walce sadowią go wreszcie policyanci wewnątrz wozu, woźnica zacina konie i wóz rusza wśród głośnego „hurra“ pospólstwa. — Drugi wóz, to kareta stacyi ratunkowej. Widziałem niedawno jak taki czarny wóz zatrzymał się na moście „Belle alliance“. Wnet otoczyły go tłumy cisnąc się do poręczy mostowych. Po chwili ujrzeli zgromadzeni, jak z mętnych fal Sprewy wyciągnięto jakąś nieszczęśliwą dziewczynę, jak ją wywindowano na most i wśród przytłumionego szmeru w tłumie wpakowano ją do wozu.

Wóz zielony wykonuje swoje funkcye w Berlinie dopiero od niedawna. Zaprowadzono go bowiem tutaj jako nowość przed kilku laty pod silnym naciskiem pewnych sfer tutejszego towarzystwa i prasy. Przedtem pro-

---

3)

Pan Podfilipski.

(Ciąg dalszy).

Szlachcic, zwolennik naszych gazet, coraz trudniej dawał sobie radę z argumentami pana Zygmunta. Drugi, pan Apolinary, słuchał z nabożeństwem, połykając duże kąski mięsa i ciągnąc ze smakiem krajowe mętne piwo. Pan Jan próbował spierać się dalej:

— U nas trudno, szanowny panie, powiedzieć coś dobrze i śmiało. Ale zawsze, co się napisze, to nasze. A nie czytając gazet na prowincyi, zapomnisz czasem, że żyjesz i gdzie żyjesz. Ja tam mało znam francuskie gazety. Czasem zobaczę w mieście *Figaro* (akcentował pierwszą sylabę; pan Zygmunt mrugnął ku mnie), ale w niem to też, jak mówi pan Apolinary, same dalsze ciągi. Kiedy kto mieszka we Francyi, to je tam rozumie. Każdy kraj ma swoje sprawy. A we Francyi zrozumiałby kto naszą gazetę, żeby i mówił po polsku?

— Nie zrozumiałby z pewnością — odrzekł Podfilipski. — Właśnie w tem jest rzecz. Z naszych gazet można zaczerpnąć trochę pierwotnych wiadomości miejscowych, ale znaleść w nich objaśnienie i dalszy ciąg życia — niepodobna. To są gazety w znaczeniu przedpotopowem: otrąbianie na rynku o zgubionych przedmiotach, o postanowieniach policyi, z dodatkiem mnóstwa omawiań pseudo-literackich i pseudo-politycznych dla zapełnienia szpalt.

— Bo to trzeba umieć czytać nasze gazety — odparł pan Jan. — Czasem czytasz, panie, wiadomości bieżące, aż znajdujesz raptem jakieś szydełko; albo jest powtórzenie z takich-to a takich gazet, a w samem powtórzeniu już i krytyka. Człowiek nad tem się czasem zamyśli i miałby coś do odpowiedzenia i gada o tem później z innymi, którzy także przeczytali. — A co pan o tem powiesz? — A to i to. — Dobrze, ale — i tak dalej. To także coś warte, panie szanowny. A kiedy naprzykład coś ci chcą zakładać, albo konwersya, panie! — to człowiekowi jednak z naszych gazet dużo się w głowie wyjaśni. Wierzaj mi pan.

— Wierzę panu — rzekł Podfilipski poważnie, z niedostrzegalnym prawie uśmiechem oczu.

Podano nam jakąś potrawę, zamówioną specyalnie przez pana Zygmunta. Osądził, że była niezła, ale wykonana z wielu usterkami; kazał więc zawołać kucharza, wyłożył mu dokładnie czego brak, i odprawił łaskawie. Kucharz pocałował go w rękę i zapewne już nigdy potem nie kładł imbieru, zamiast estragonu do owego sosu.

Tak rozrzucał Podfilipski drobną monetę i obrączkowe dukaty swych cywilizacyjnych skarbów. Pozostało zaś w nim tyle jeszcze niewydanych zasobów.

Te, o ile znam, postaram się rozpowszechnić przy wspomnieniach moich o tym znacznym człowieku, którego wszystkie prawie rozmowy warte były druku.

I wtedy, po wyjściu obu naszych towarzyszy obiadu, odsłonił przedemną niektóre bogactwa swej rozległej myśli. Tamci wstali od stołu szybko, po skończeniu jedzenia, pożegnali się z pewnem zakłopotaniem, patrząc w oczy Podfilipskiemu, jak w nieswoje i niezbadane głębie. Pan Zygmunt pożegnał ich ze swobodą i okazałą grzecznością. Wiejską szlachtę, z której sam ostatecznie pochodził, traktował dobrze, wyższość swą dawał jej raczej odczuwać, niż ją wyraźnie zaznaczał.

Pozostaliśmy we dwóch.

— W tem, co mówił człowiek ten prosty i cichego serca — odezwał się do mnie pan Zygmunt — jest cała nasza rdza i pleśń. Nie obwiniam go: jest niezdolny, ale szczery. Może mu co zapadło w głowę z tego, com mu powiedział.

Broniłem trochę pana Jana, mam go bowiem nie tylko za człowieka cichego serca, ale i dobrej woli. W innych okazyach wydał mi się wymowniejszym, tutaj tracił oczywiście na porównaniu ze świetnością Podfilipskiego. I żal mi było, że ludzie więksi, jak oto pan Zygmunt nie biorą bardziej do serca spraw ogólnych, czy to w publicystyce, czy w działaniu praktycznem.

Powiedziałem mu to, a on przyjaźnie mi się uśmiechnął, ale z właściwym sobie smakiem podniósł tylko lekką krytykę, zawartą w mych prostych słowach i zawołał:

— Cóż to? przedsięwziął pan moralizować mnie dzisiaj? Ja się przecie nie wypieram swego pochodzenia i w miarę możności tutaj działam. Wydaję trochę pieniędzy zagranicą, ale *ich* pieniędzy; to pewna, żem więcej wprowadził do kraju, niż stąd wywiozłem. (Tu uśmiechnął się z wyrazem dumy, jednak bez arogancyi). Ale, widzi pan, są natury, jak moja, które trudno nagiąć do służby, a jeżeli służą, to nie w piechocie, tylko w marynarce. Ja potrzebuję jeździć i słuchać pulsu świata tam, gdzie bije najtężej. Stań pan na skrzyżowaniu wielkich bulwarów z „avenue de l'Opéra“ na schronieniu dla pieszych — i posłuchaj.

Po drewnianym bruku, na którym kół nie słychać, toczy się wciąż głuchy grzmot podków końskich, ludzkiej mowy, nawoływań, śmiechów; szepty same już by stanowiły duży głos, gdyby je można z ogólnej wrzawy wyróżnić. Ale pan już tego nie słyszy, bo ma ten huk w uszach od rana za atmosferę i tło wszystkich wrażeń. Patrz pan:

Wolno, z ciągle naprężoną uwagą i cuglami, prowadzą furmani przepyszne konie: przejeżdża Alfons Rotschild, prezydent Rzeczypospolitej, Liane do Pongy i tam jeszcze ktoś — aha król szwedzki. Między morzem krzyżujących się fiakrów, płynących dwoma wstecznemi prądami, reklamowe budy, krzykliwie malowane, i wieloryby tego morza — potworne omnibusy, szczelnie zapełnione, aż po dachy. Patrzy pan na przechodniów. Jak ubrani! jak śpieszą gorączkowo, albo jak rozkosznie „flanują“. Oczy kobiet błyszczą — wszystkie oczy błyszczą w Paryżu; w powietrzu jest na to jakiś środek, lepszy od belladony.

Teraz pan myśli: Co mam do roboty? Mam czek na „Crédit Lyonnais“, najlepszy bank świata, — zaraz na lewo. Jedyna trudność, to przejście ulicy, którą ciągnie nieprzerwana procesya fiakrów i powozów. Ale stoi policyant, zatrzyma ręką cały ich szereg *pour monsieur qui veut passer.*

Chcę sprowadzić takiego pana, który mieszka aż w cyrkułach pól elizejskich. Piszę mu depeszę miejską, *un petit bleu*. Biuro obok.

Chciałbym coś wiedzieć o nowym wynalazku Edisona, bo ciągle o nim mówią. Mam o nim wykład popularny, z doświadczeniami przy restauracyi *Café Riche* — kilka domów stąd.

Jeszcze potrzebna mi jakaś informacya. Pójdę do byle jakiego „salonu redakcyi“, otwartego na ulicę, gdzie albo przeczytam, albo ustnie się dowiem. Jest ich dosyć na prawo i na lewo.

Kupić mam to, to i to. W promieniu pół kilometra jest do kupienia wszystko, o czem kiedykolwiek pomyślałem i wiele rzeczy, których jeszcze nie znam.

Pójdę potem na obiad: o kilka kroków jest *Paillard*, najlepsza restauracya świata, albo *Café Anglais*, albo *Josephe* — równie dobre.

I wreszcie pójdę sobie na operę, pod której gmachem stoję. Śpiewają Reszkowie.

— Tak, panie — ciągnął dalej Podfilipski przyciszonym głosem, bo zauważył, że mu się przysłuchują od sąsiednich stołów — tam, albo w Londynie, nawet czasem w Berlinie, człowiek czuje się zupełniejszym, bogatszym, wyższym. We wszystkich głównych zdobyczach wieków mam swój udział, za średnie pieniądze dostępne mi jest wszystko od bułki, aż do cnoty i sławy. Naprawdę żyję i wiem, że kiedy umrę, tom się spalił albo złamał, a nie zgnił z braku ruchu i od zamoknięcia. Naturalnie, wszyscy nie mogą mieszkać w Paryżu, ale że się ludzie ruchliwszej myśli i szerszych poglądów garną do takich centrów, to rzecz prosta. Człowiek przywiązany jest instynktownie do rozkoszy; ci, którzy do niej nie dochodzą, są albo grubo nieoświeceni, albo chorzy, albo należą do klas roboczych. To wcale niegłupie przysłowie to „*ubi bene, ibi patria*“.

— Nie, to nie jest głupie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

wadzono tu złowionych przez policyę delikwentów przez ulice, lub transportowano ich w otwartych dorożkach. Przeciw temu zwyczajowi rozpoczęto kampanię jako przeciwko czynnikowi demoralizującemu. Po zaciętej walce upadł dawny prymitywny obyczaj, a zastąpił go „zielony wóz“! Aliści dzisiaj zaczyna się znowu walka przeciwko „zielonemu wozowi“ i to z takich samych powodów. Moraliści tutejsi utrzymują, że częsty jego widok na ulicach przytępia w przechodniach odrazę do występku przez to, że przyzwyczaja ich do widoku bliskiej kary, która czeka takiego pasażera zielonego wozu.

Myślałby może kto, że w mieście, którego ludność jest tak czułą na takie subtelności społeczno-etyczne, nie może się przytrafić, aby ktoś mógł umrzeć z głodu. Wszakżeż głód i nędza to najpierwsi doradzcy zbrodni, a dobroczynność publiczna powinna jeżeli już nie o dostateczną jałmużnę, bo to nie dobrze oddziaływa, to przynajmniej o pracę się postarać. A jednak stał się tu niedawno wypadek równie znamienny, jak straszny. Na jednem z przedmieść tutejszych mieszkała wdowa z dwiema córkami. Należała ona do znakomitej rodziny i z niewiadomego powodu popadła w nędzę. Nie umiejąc zarobić sobie na życie, a wstydząc się żebrać, kobiety te przez kilka tygodni żyły tylko kawą i chlebem, ale trwało to dopóty, póki było jeszcze co do sprzedania. Wreszcie matka i starsza córka zostały prawie bez ubrania, przez ostatni tydzień niejadły nic zgoła i spały na gołej podłodze. W chwili kiedy nędza ich doszła do wiadomości publicznej, matka już dogorywała, a starsza córka kilkumiesięczną nędzą tak zrujnowała swoje siły fizyczne, że niema już nadziei przywrócenia jej zdrowia. Młodsza córka, która na kilka dni przed śmiercią matki wyszła z domu, tułała się długo po ulicach, aż znalazł się kupiec na jej wdzięki. Nad zwłokami matki stanęła ona ubrana w bogatą rotundę, zdobytą za cenę niewinności. Miała nawet i pieniądze, ale to wszystko było już za późno.

Takich wypadków ma Berlin jak i każde większe miasto mnóstwo. Ani nikt nie przypuszcza ile takich cichych tragedyi rozgrywa się tuż pod bokiem rozmaitych dobroczynnych towarzystw, a one nic pomódz temu nie mogą, bo o nich wcale nie wiedzą. Dopiero gdy tu i owdzie z siłą wulkanicznej erupcyi przedrze się do wiadomości publicznej ostatni akt takiej tragedyi wówczas pod wpływem wyrzutu sumienia zrywa się ludzkość do radzenia złemu. Ale czas wnet zaciera wrażenie wypadku i miejsce współczucia, zajmuje znowu obojętność.

W teatrach tutejszych cicho. Ważniejszymi wypadkami było wznowienie dramatu Hebbla „Gyges i jego pierścień“ i wystawienie nowej komedyi. Mozera „Niebieska krew“. Ani jedno ani drugie przedstawienie nie zrobiło wielkiego wrażenia. Hebbla nie bardzo zrozumiano i dlatego szerokie masy publiczności nie były w stanie współczuć z jego bohaterami. Mozer zaś okazał się tak banalnym, że aż wprost znudził słuchaczy. Większe powodzenie niż dzieła same, mają gościnne występy artystów dramatycznych z Wiednia. Niedawno bawił tu aktor Burgteatru Engels, a za kilka dni ma się przed publicznością tutejszą popisać tragiczka wiedeńska Sandrok.

W operze wystąpili gościnnie baryton opery paryskiej Lassalle, i primadonna opery pragskiej panna Dworzak. Pierwszy znany już tutejszej publiczności z dawniejszych występów wystąpił w „Afrykance“ w roli Neluska i odniósł sukces ogromny. Za to panna Dworzak, która śpiewała partyę Małgorzaty w „Fauście“ doznała bardzo zimnego przyjęcia ze strony publiczności. Chłód ten przypisać należy częścią szowinizmowi Berlińczyków, ale częścią także nierówności głosu, którym rozporządza panna Dworzak.

Grono smakoszów artystycznych zebranych w „Towarzystwie dramatycznem“ urządziło tu sobie przed kilku dniami w *Residenz-teater* tzw. *Matinée*. Grano sztukę Schlafa p. t. „Gertruda“. Nazywając swoje dzieło dramatem, uczynił widocznie przywódzca berlińskich naturalistów, koncesyę na rzecz przyjętej nomenklatury. „Gertruda“ bowiem chyba tylko dlatego może nazywać się dramatem, że w niej znajdują się dyalogi, które są formą dramatyczną. Zresztą bowiem nie ma w dramacie Schlafa ani akcyi, ani skupienia, ani tezy, ani problematu. Gertruda jest to sobie trochę niezrozumiana przez otoczenie a trochę histeryczna kobieta. Jej przejścia psychologiczne w pewnym okresie czasu, stanowią całą treść utworu, a za swoje najwyższe zadanie uważa Schlaf wierne skopiowanie momentów psychologicznych. Uczestnicy wieczoru wysłuchali sztuki z wielkiem nabożeństwem, chociaż z bardzo nierównem zajęciem, gdyż dyalog miejscami przeradza się w rozmowę o rzeczach tak obojętnych, że absolutnie nie może zająć nikogo. Zagorzali naturaliści widzą w tem zaletę i jako argument przytaczają życie, w którem takie rzeczy obojętne przeplatają rzeczy zajmujące, ale to tłumaczenie nie *ex post*, nie zdołało stworzyć zajęcia między widzami.

Rada państwa.

(*Telegram Przeglądu.*)

Wiedeń 5 maja. Wczorajsze posiedzenie wypełniły mowy p. Vaszatego, Słoweńca Gregorca, tudzież radykalnych Rusinów pp. Okuniewskiego i Jarosiewicza.

Słoweniec p. Gregorec wykazywał liberałom niemieckim niekonsekwencyę. Przez długie lata byli oni u steru rządów w Austryi, atoli wówczas wcale nie okazywali ochoty sprawiedliwego rozwiązania kwestyi językowej, dopiero dziś w sposób gwałtowny domagają się jej rozwiązania. Słoweńcy mają nadzieję, że jeżeli to rozwiązanie nastąpi, to będzie ono odpowiadało poczuciu sprawiedliwości.

P. Okuniewski podnosi na wstępie, że naród ruski z radością wita chwilę, w której przez usta swoich „prawdziwych“ reprezentantów może zabrać głos w niesłychanie doniosłej kwestyi językowej. W Galicyi może ta kwestya być rozwiązaną tylko przez ustawę, ale przez ustawę uchwaloną w Radzie państwa a nie w Sejmie. (Oklaski na ławach lewicy niemieckiej).

Wielką otuchą i radością przejmuje mówcę oświadczenie hr. Thuna, iż w kwestyi językowej nie należy dopuścić do majoryzowania jednego narodu przez drugi. W tem położeniu są właśnie Rusini w Galicyi. Nie są oni wcale równouprawnieni i dlatego mówca z całym naciskiem popiera swój wniosek, ażeby załatwiono kwestyę językową w Galicyi w ten sposób, iżby w czysto ruskich powiatach urzędowano wyłącznie po rusku, a w polskich po polsku. Na podanie jednak wniesione w drugim języku krajowym, należy odpowiadać w tym języku, w którym zostało wniesione. Okręgi, w których mieszka przynajmniej 25 proc. drugiej narodowości, mają być uznane za mieszane i urzędowanie ma się w nich odbywać w obydwu językach. W tym duchu należy przeprowadzić podział Galicyi na okręgi polskie, ruskie i mieszane, ale za podstawę nie można brać dzisiejszej statystyki, gdyż ona nie odpowiada istotnym stosunkom. Żydzi bowiem figurują w niej jako Polacy, gdyż zawsze przyznają się oni do tej narodowości, która jest silniejsza i która rozstrzyga o podatkach i o poborze rekrutów.

Mówca zastrzega się jeszcze raz, że uznaje tylko Radę państwa za kompetentną do załatwienia tej sprawy. Postulaty postawione przez zeń są minimum żądań ruskich, jeżeli się je spełni, wówczas zadowolni się Rusinów na pewien czas, jeżeli nie, wówczas prowadzić oni będą dalej energiczną walkę o swoje prawa, a należy pamiętać o tem, że stosunki w Galicyi tak się zaostrzyły, że już i najspokojniejsi ludzie stają do tej walki. Jako specyalne żądanie Rusinów stawia mówca także utworzenie osobnej sekcyi ruskiej w galicyjskiej Radzie szkolnej. Co się tyczy niemieckiego języka państwowego, to Rusini wcale się go nie boją. Wśród wszystkich narodów słowiańskich oni jedni nie boją się niemczyzny, gdyż liczą się z kulturą zachodnią i z potrzebami administracyi państwowej. Gdyby kto zapytał dlaczego Rusini wolą niemiecki język niż polski, mówca odpowiedziałby mu, że dla celów naukowych język polski nie wystarcza, dla chłopa zaś wystarczy zupełnie język ruski. (Oklaski na lewicy)

Po p. Okuniewskim udzielił wiceprezydent dr. Ferjancic głosu Rusinowi Jarosiewiczowi. W sali powstaje hałas, posłowie znudzeni długą mową p. Okuniewskiego nie chcą słuchać dalszego wykładu o kwestyi ruskiej. P. Jarosiewicz stawia wniosek o zamknięcie posiedzenia, a przewodniczący zapytuje go czy ma rozumieć ten wniosek w ten sposób, iż p. Jarosiewicz zrzeka się głosu, który otrzymał dla uzasadnienia swego nagłego wniosku. Na lewicy odzywają się hałaśliwe zaprzeczenia. Przewodniczący poddaje pod głosowanie wniosek o zamknięcie posiedzenia, Izba jednak odrzuca go. W obec tego p. Jarosiewicz musi zabrać głos.

Przemawiał on w tym samym duchu, co p. Okuniewski. Zaznaczył on, że ustawa językowa może dopiero wówczas dać pokój Austryi, jeżeli równocześnie w miejsce dotychczasowego podziału monarchii na kraje koronne nastąpi naturalny rozdział według językowych i narodowych indywidualności. Spór językowy w Galicyi nie jest tylko narodowym, lecz do pewnego stopnia także sporem społecznym. Język panujący, tj. polski, jest zarazem językiem szlachty, a więc potężnego panującego stronnictwa. Język ruski natomiast jest językiem szczepu narodowego wprawdzie licznego, ale pod względem politycznym pozbawionego prawa i dlatego jest u szlachty w pogardzie, jako język proletaryatu.

Także i w ruskich gminach bywa język ruski w szkołach upośledzany na rzecz języka polskiego skutkiem wpływu inspektorów szkolnych. Mówca stara się dalej wykazać, że w kraju, w którym władza jedynie i wyłącznie spoczywa w rękach szlachty, niemożliwem jest osiągnąć cokolwiek przez ustawę krajową w kierunku językowym, czy też politycznym. Nawet ustawy państwowe bywają w Galicyi w szczególny sposób interpretowane, jak to zresztą okazało się z okazyi przeprowadzenia reformy wyborczej. Rusini stawiają żądanie, aby ruska część Galicyi została oddzielona od polskiej. U nas—powiada p Jarosiewicz—nie chodzi o ochronę mniejszości, lecz o ochronę znacznej większości we wschodniej Galicyi. Nie wystarczą przeto ustawy dla ochrony mniejszości, lecz jedynym środkiem skutecznej ochrony jest, aby każdy naród miał dla siebie wyłącznie pewien obręb. Od galicyjskiego Sejmu nie możemy oczekiwać sprawiedliwości i jedynie spodziewamy się przez Radę państwa uzyskać wydatne ustawy w kierunku narodowym. Żywimy to zapatrywanie, że ustawa językowa powinna być stworzona dla podzielenia Austryi na indywidualności narodowe. My chcemy stworzyć ruską prowincyę państwa (brawa z lewicy).

Na tem przerwano obrady.

List pasterski trzech władyków.

W roku bieżącym przypada oprócz pięćdziesiątej rocznicy wstąpienia na tron Cesarza Franciszka Józefa I, także pięćdziesięcioletni jubileusz zniesienia pańszczyzny. W celu uczczenia tego podwójnego jubileuszu, wydali ks. kardynał Sembratowicz, biskup przemyski ks. Czechowicz i biskup stanisławowski ks. Kuiłowski list pasterski do ludności galicyjskiej obrządku gr. kat.

List pasterski podnosi doniosłość zniesienia pańszczyzny. Po słowach dziękczynienia dla dynastyi Habsburgów i po skonstatowaniu; że wdzięczność za zniesienie pańszczyzny jest w ludzie ruskim prawdziwie żywotną i taką pozostanie nadal, przechodzi list pasterski do następstw, jakie pociągnęło za sobą zniesienie pańszczyzny a uwłaszczenie ludu i podnosi, że z chwilą tą zaczęło się właściwe życie narodu tak, że obecnie sam się przyłącza do dwóch poprzednich: trzeci jubileusz, a to jubileusz odrodzenia ruskiego narodu.

Skutkiem niepomyślnych okoliczności pozbawiony został naród ruski wyższych warstw społecznych, a więc szlachty, mieszczaństwa i inteligencyi; narodowość ruska ograniczała się na ruskiem włościaństwie, małomieszczaństwie i duchowieństwie. Tak zwanej ruskiej inteligencyi było bardzo mało, a i ci, z małymi wyjątkami, wstydzili się ruskiej mowy i swego obrządku. Stąd poszło, że naród ruski stał się bardzo biedny, ciemny i przybity, ruskie cerkwie były małe, biedne i opuszczone, nie było oświaty w ludzie, nie było piśmiennictwa ruskiego ani nauk, nie było instytucyi narodowych, oprócz Stauropigijskiego bractwa, bractw cerkiewnych i szkół dyakowskich. A kiedy lud wiejski uzyskał swobodę, stanęły naraz setki tysięcy wolnych obywateli do pracy i narodowość ruska zaczęła się podnosić.

W dalszym ciągu list pasterski opowiada historyę samego odrodzenia się. Zaczęto od szkół w r. 1848 założono towarzystwo „Hałycko-ruska Matycia“ i pod wpływem wszystkich starań, lud ruski ma już inteligencyę, która służy krajowi i państwu i z małymi wyjątkami nie wstydzi się już swej narodowości, swej mowy i obrządku. „Z chwilą naszego odrodzenia podniósł się nasz obrządek i doszedł do czci i sławy i do zrównania z obrządkiem łacińskim, cerkwie nasze odnowiono i przyozdobiono, powstało wiele cerkwi nowych; w cerkwiach zaprowadzono harmonijny śpiew i przepych w nabożeństwie, założono bractwa, których zadaniem jest utwierdzać życie pobożne i religijne, szerzyć trzeźwość, pomagać biednej szkolnej i rzemieślniczej młodzieży“. W tem miejscu wylicza list pasterski dobrodziejstwa, jakie uzyskał w tym czasie lud ruski dla swej cerkwi, a to, utworzenie stanisławowskiego biskupstwa, odbycie prowincyonalnego synodu, reformę zakonu Bazyliańskiego, reformę w kształceniu młodszego kleru i założenie instytutu im. św. Jozafata w celu kształcenia młodzieży.

I na polu równouprawnienia uzyskali Rusini bardzo wiele. Język ruski ma zabezpieczone sobie prawo równości w szkołach najniższych i najwyższych, w sądach, urzędach i reprezentacyach kraju i państwa. Dzisiaj nikt nie śmie ośmieszać ruskiego języka. Powstały różne instytucye, literatura się podniosła. Lecz chociaż postęp w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu wielki, to jednak naród ruski stoi w tyle, nie zrównał się jeszcze z innemi narodami, a najsmutniejsze to, że lud stoi co do oświaty bardzo jeszcze nisko, a ekonomiczne jego położenie przedstawia się bardzo smutnie. Winę tego ponoszą po części nieszczęścia elementarne, ale główna wina leży w samym ludzie, który nie umiał wykorzystać wolności, oddał się w znacznej swej części pijaństwu, popadł w ręce lichwiarzy, strwonił ojcowiznę, wielu lekkomyślnie rzucało ojczyznę i szło za morze, gdzie nie przyczynili oczci narodowi swemu. Teraz biskupi wysyłają za nimi kapłanów, że i tamci za morzem nie są zupełnie opuszczeni.

A równocześnie inteligencya nie pomna upadku włościaństwa i mieszczaństwa zaczęła się kłócić między sobą, traciła czas na sporach, z których wyrodziły się nieprzyjaźń, pogarda cudzego zdania i zniechęcenie do pracy nad ludem. „A jedna część tej ruskiej inteligencyi, mianowicie niektórzy z młodszego pokolenia, zamyślili uszczęśliwić lud nasz ideami, wziętymi z bezbożnej teoryi naturalizmu i socyalizmu; w rzeczywistości nie mogą oni podnieść ludu, ale dążą do zamieszek i do wydarcia ze serca ludu najdroższego skarbu: wiary. Niestety, w niektórych okolicach lud przejmuje się już temi szkodliwemi zasadami, stracił wiarę i zaczął unikać cerkwi i kapłanów. Ale czy może być człowiek szczęśliwy bez wiary? Poznali to wkrótce sami w błąd wprowadzeni i po czasie poczęli wracać do Boga“.

I tu zaczyna list pasterski przypominać te obowiązki, które mogą usunąć przyczyny złego; zaleca przedewszystkiem zgodę i jedność, jako podstawę ogólnego odrodzenia się ludów, podnosi obowiązek najściślejszej łączności z Kościołem, konieczność kierowania się wszędzie zasadami św. wiary, obowiązek przywiązania i miłości do dynastyi, państwa, kraju, z naciskiem zaznacza konieczność miłości z drugiemi narodowościami i kończy się słowami modlitwy, w której prosi Boga o zlanie wszelkiego błogosławieństwa na naród ruski.

Ku uczczeniu zaś samej rocznicy jubileuszowej poleca: dnia 15 go maja winne się odbyć wszędzie uroczyste dziękczynne nabożeństwa, zamiast kazania ma się odczytać niniejszy list pasterski, dalej mają być urządzone procesye do krzyżów pamiątkowych, lub poświęcenie takich krzyżów. Księża winni uważać, ażeby publiczne obchody jubileuszowe, jak festyny, wieczory i t. d. odbywały się uroczyście i bez zarzutu, a nadto zaleca duchowieństwu zajęcie się składkami na wykupno zadłużonych włościańskich gruntów, na zapomogi dla biednych gmin, które chcą budować nowe lub odnawiać stare cerkwie i na fundusz założenia we Lwowie rzemieślniczej bursy.

Co i o czem piszą.

W organie ortodoksów ruskich i rumuńskich *Bukowina* czytamy, co następuje:

Czerniowce już ze wszystkich stron popadły w ręce propagatorów rzymsko-katolickich. Jakie to postępy poczynili w ostatniem dziesięcioleciu! Wzniesiony w samych Czerniowcach wspaniały kościół jezuicki. Tam prawią patry-jezuici kazania w obu językach krajowych, czem całe Monasteryszcze i Roszę zwabiają. Po wschodniej stronie metropolii czerniowieckiej stanęły silną stopą „mateczki“, mniszki zakonu żeńskiego, zaprowadziły szkołę dla dziewcząt, przyjmują do niej uczennice bez różnicy wyznania i wywiązują się dobrze ze swego zadania. Na cieniutką ich wędkę łowią się mieszkańcy Wielkiego Kuczurowa, Czahry, Ostrzycy, Horecza, Kaliczanki itd. Nawet pod bokiem rezydencyi arcybiskupiej urządziły się innego rodzaju „mateczki“ — Urszulanki, założyły *Katholisches Asylhaus* i na wielkie rozmiary prowadzą propagandę katolicką między prawosławnymi Kłokóczki, Lenkowiec, Rohozny. Szczególnie zaś zajęły się stanem robotniczym. Rodzice wychodząc rano do roboty, zostawiają dzieci swoje przez cały dzień u „mateczek“, a wracając wieczorem do domu zabierają je ze sobą. Przez dzień otrzymują te dzieci wikt, naukę, naturalnie w duchu katolickim i to po polsku i wnet taki prawosławny Rusin albo Rumun przerabia się na Polaka katolika. Jak systematyczną jest ta agitacya, widać stąd, że ludzi wszelkich stanów i wieku ogarnia. Maleństwo przyjmują gorliwe „mateczki“ z ulicy Franciszka w opiekę i tam zaszczepiają w młodziusich sercach miłość obcego a nienawiść do swego. A kiedy już ta małota podrosła, oddają ją „mateczki“ z ulicy Franciszka „mateczkom“ z ulicy Siedmiogrodzkiej i tam ją dalej wychowują. Takim sposobem jest ta młódź przysposobiona do odwiedzania kościoła jezuickiego, przeznaczonego dla starszego wieku. Tak wychowane dzieci wciągają tam swoich rodziców, krewnych i niebawem się okazuje, że całe rodziny przechodzą na rzymski katolicyzm, jak to się niedawno stało na Roszy i Kłokóczce. Niestety, prawosławne władze kościelne w Czerniowcach nie dbają o dobro swej trzody prawosławnej, a kazanie w Czerniowcach nietylko ruskie, ale nawet rumuńskie — to rzecz niesłychana. Jeżeli konsystorz zawczasu nie zajmie się losem prawosławia na Bukowinie, to rychło śladu po niem nie pozostanie.

* * *

Mówiąc o znakomitem dziele Władysława Łozińskiego, które niedawno opuściło prasę drukarską, a które nosi tytuł: „Sztuka lwowska w XVI i XVII wieku. Architektura i rzeźba“, pan Stanisław Tomkowicz w obszernej swej i nadzwyczaj sumiennie napisanej recenzyi w *Czasie*, podnosząc wszystkie niezrównane zalety tej książki, robi autorowi zarzut, że niedość szczęśliwie obrał tytuł dla swojej pracy. Bo dodatek, że jest tu tylko mowa o architekturze i rzeźbie we Lwowie w XVI i XVII wieku nie usprawiedliwia — zdaniem p. Tomkowicza — i nie tłumaczy tak ogólnego tytułu, jakim jest „Sztuka lwowska“. Zarzut swój motywuje p. Tomkowicz jak następuje:

Tytuł książki nie jest bynajmniej sprawą małej wagi. Kto bierze do ręki książkę, widzi tytuł „sztuka lwowska“ i podpis autora tak poważnego, a wyrazy starannie ważącego, już czyta ją z uprzedzeniem, że była jakaś „sztuka lwowska“, coś jak naprzykład sztuka włoska lub niemiecka. Jeszcze łatwiej uwierzyć temu mogą ci, którzy książki do ręki nie wezmą. I gotowo rozpowszechnić i przyjąć się wśród przeciętnego cywilizowanego ogółu ludzi, specyalnie tej kwestyi niezgłębiających, że Lwów w dziejach sztuki europejskiej odegrał rolę choćby w przybliżeniu podobną jak Wenecya, Florencya, Rzym lub Norymbergia, Augsburg czy Antwerpia. Nie wątpię, że p. Łoziński ani na chwilę tego nie myślał. A jednak jak w tytule był cokolwiek nieostrożnym, tak nawet w samym tekście nigdzie wyraźnie tego nie stwierdził i nie podkreślił, że właściwie nie było i nie ma żadnej „sztuki lwowskiej“, była tylko sztuka we Lwowie, którą tam wnieśli artyści obcy, częścią Włosi, częścią Niemcy; była przez czas pewien dość wydatna produkcya, która pod wpływami miejscowymi straciła wiele ze swego europejskiego charakteru, przybrała cechy sztuki prowincyonalnej, niekiedy bardzo drugorzędnej. Czytając pełne zapału karty książki, mimo szerokich jej widnokręgów i całego powiewu kultury europejskiej, trudno czasem oprzeć się nieco złośliwemu podejrzeniu, że autor, uniesiony zamiłowaniem przedmiotu, może chwilami naprawdę poddał się temu łechcącemu naszą miłość własną przypuszczeniu czy wrażeniu, że przecież była naprawdę jakaś, bodaj najskromniejsza „sztuka lwowska“ i szkoła lwowska. To podejrzenie wprawdzie umotywować się nie da; polega ono nietyle na jakichś danych, ile na ogólnem wrażeniu. Ale już sama możność takiego wrażenia, zwłaszcza że poparta niezbyt szczęśliwym tytułem książki, nie wychodzi chyba na korzyść ścisłości naukowej.

* * *

Kuryer lwowski zwraca uwagę na coraz większą drożyznę, doprowadzającą już niemal do rozpaczy mieszkańców miast w Austryi. — Ceny wszystkich wiktuałów rosną niemal z dnia na dzień, a wybuch wojny hiszpańsko-amerykańskiej przyczynił się tylko do ich szybszego wzrostu. *Kuryer lwowski* pisze:

Nie mamy w tej chwili pod ręką statystycznych wykazów cen lwowskich. Ponieważ jednak stosunki nasze nie wiele się różnią od wiedeńskich (niektóre artykuły są nawet droższe), więc dla przykładu podajemy kilka danych z stolicy naddunajskiej. I tak: pszenica podskoczyła z 12 zł. na przeszło 15 zł. 50 ct., a zatem o więcej, niż 25 pct., mąka z 21 zł. 75 ct. na 24 zł. 25 ct., to znaczy ponad 10 pct. Mąka kosztuje dzisiaj dwa razy tyle, co przed dwoma laty, a nie ma widoków, aby ceny nie wzmagały się dalej. W trzech pierwszych miesiącach tego roku wprowadzono do Austryi 3·6 miliona cetnarów metrycznych zboża, podczas gdy przywóz w tym samym czasie roku zeszłego wynosił tylko 526.000 centnarów metrycznych. Przyczyny tego nienaturalnego wyniku szukać trzeba w nieurodzajach i powodziach zeszłorocznych, wskutek czego ubiegłej już jesieni potrzeba było przywozu zboża z Rosyi i z krajów zamorskich. Atoli na podrożenie ziarna wpłynął także wybuch wojny hiszpańsko-amerykańskiej. W takich warunkach daje się dotkliwie we znaki także cło od zboża. Wynosi ono 1 zł. 80 ct. od centnara metrycznego, państwo zarabia więc na podrożeniu chleba w trzech pierwszych miesiącach bieżącego roku okrągłą sumkę 5 milionów. W czasie, kiedy zaczyna grozić tyfus głodowy, zniesienie ceł zbożowych staje się niezbędną potrzebą. Uznali to *nawet* szlachcice galicyjscy i przez usta dep. Koliszera postawili na jednem z posiedzeń Izby interpelacyę w tej sprawie.

To „nawet“ jest wyborne, zwłaszcza jeżeli się zważy, że mogli podobną interpelacyę postawić ci wrzekomi przyjaciele ludu, a jednak tego nie uczynili — i że szlachty galicyjskiej nikt nie zmuszał do tego, aby się starała o obniżenie cen zboża, co jest oczywiście wbrew jej interesowi.

Rozmowa polskiego malarza z ks. Teniszewem.

W *Kraju* petersburskim czytamy:

Malarz tutejszy, p. Klass-Kazanowski, napisał do jen. komisarza rosyjskiego dla wystawy paryskiej, ks. Teniszewa, urzędowe podanie, w którem podniósł potrzebę urządzenia w dziale rosyjskim wystawy paryskiej osobnego oddziału polskiego, gdzie wszyscy malarze polscy wystąpićby mogli razem. Jak wiadomo, w Berlinie na powszechnej wystawie malarskiej znajdowała się osobna sala z napisem: „Polnische Schule“, urządzenie więc podobnej sali i w dziale rosyjskim w Paryżu nie byłoby nowością.

Nie wchodzimy w to, czy właściwem było i prowadzącem do celu, by inicyatywę w tak ważnej sprawie brał bezpośrednio i samodzielnie jeden tutejszy malarz i to nie należący do najgłośniejszych; p. Klass-Kazanowski objaśnia, że będąc polskim malarzem i wiedząc, że działa w myśl wszystkich naszych malarzy, nie wahał się wystąpić z inicyatywą, bo ktoś z nią wystąpić musiał. Lepiejby było — powiada — by krok ten było uczyniło warszawskie Towarzystwo zachęty, ale gorzej, gdyby, czekając próżno na „zachętę“, nikt go nie był uczynił.

P. Kazanowski więc wręczył podanie swe osobiście ks. Teniszewowi, który przyjął go bardzo uprzejmie i miał z nim dłuższą rozmowę, o której doszły nas następujące informacye.

— Więc pan życzyłby sobie osobnej polskiej wystawy? — odezwał się książę.

— Życzyłbym sobie i ja i wszyscy polscy malarze, by na wystawie rosyjskiej znalazła się osobna sala polska. Zachęci to bezsprzecznie wszystkich naszych artystów do wzięcia udziału w wystawie — dotychczas nie brały w niej udziału najlepsze nasze siły — a to tylko korzystnem być może dla rosyjskiego oddziału.

— Więc pan chciałby separacyi?

— Tak jest, ale tylko pod względem kulturnym, a że nie pod względem politycznym, świadczyłby najlepiej gremialny udział wszystkich naszych artystów w państwowym oddziale rosyjskim, w którym znalazłaby się cała niemal szkoła polska.

— Szkoła polska! Rozumiem podział wystawy na oddział historyczny, rodzajowy, krajobrazowy itp., ale tworzyć oddział osobny dla szkoły polskiej! Czy istnieje szkoła polska?

— Istnieje i bardzo wybitna, posiadająca znakomitych przedstawicieli. Uznając szkołę rosyjską, zaprzeczać niepodobna istnienia szkoły polskiej. Malarstwo polskie istnieje tak samo, jak polska literatura.

— Literatura, to zupełnie co innego. Literaturę macie odrębną, dzięki odrębnemu językowi, ale w malarstwie tej różnicy nie ma.

— Pozwolę sobie nie podzielać zdania księcia. Mickiewicz przetłómaczony na język rosyjski, nie przestaje być polskim pisarzem. A pendzel, tak jak pióro, stanowi tylko środek, którym wyraża się odrębny narodowy charakter, wyrobiony tylu wiekami własnej kultury. Między Mickiewiczem a Puszkinem taka sama zachodzi różnica, jak między Matejką a Repinem. Omyłki być tu nie może. Powiem więcej, że na rozdziale takim na wystawie zyskałby tak oddział rosyjski, jak polski, bo obraz polski w szkole rosyjskiej byłby dla każdego znawcy psychologiczną łamigłówką.

— Wszystko to pięknie. Jestem jednym z tych, co nie życzy sobie, by Polaków w czemkolwiek uciskano, żeby nie pozwalano im korzystać ze wszystkich praw na równi z innymi obywatelami państwa; jestem jednak przeciwnikiem stanowczym wszystkich separatystycznych dążeń.

— Zdanie księcia podzielają wszyscy Polacy, ale nie widzą separatystycznych dążności w uznaniu historycznego faktu odrębnej swej cywilizacyi. Wobec odmiennego zdania księcia, cofam jednak swe podanie.

— To nie, ja nie jestem ostatnią instancyą. Podanie pańskie przedstawię hr. Tołstojowi, który, wraz z pp. Repinem i Edelfeldem, wyrazi o niem swe zdanie. Zresztą pozostaje jeszcze decyzya ministra. Tyle panu powiem, że ja wypowiem otwarcie swoje zdanie tak, jak je panu powiedziałem.

— Nie mogąc zgodzić się z księciem, wdzięczny mu jestem za jego otwartość.

— Mam zwyczaj zawsze otwarcie mówić, co myślę.

Po tej rozmowie p. Kazanowski napisał list do hr. Tołstoja, w którym rozwinął swe zapatrywania. Dotąd nie otrzymał odpowiedzi.

Kongres kupiecki.

Przez trzy dni, t. j. 14, 12 i 16 kwietnia obradował w Antwerpii międzynarodowy kongres kupiecki pod honorowem przewodnictwem p. Nyssens, ministra przemysłu i pracy. Udział zagranicy w tym kongresie był liczny, przybyło bardzo dużo kupców oraz umyślnie wysłani delegaci rządów: angielskiego, francuskiego, włoskiego, norweskiego, rosyjskiego, węgierskiego, Stanów Zjednoczonych i t. d.

Po zagajeniu kongresu przez ministra Nyssensa, obrano przewodniczącym p. Straussa, radzcę miasta Antwerpii i prezesa Towarzystwa byłych akademików handlowych. Na wiceprezesów powołał p. Strauss reprezentantów obcych rządów, a potem wygłosił mowę, której myślą przewodnią było to, że wiek XIX, wiek pary i elektryczności, przez całą masę wynalazków w dziedzinie komunikacyi i przemysłu rozszerzył solidarność międzynarodową. Warunkiem dobrobytu jakiegoś państwa nie jest już teraz przewaga jego wojennej siły nad siłą innych państw, lecz zdolność do konkurencyi ekonomicznej, a więc czynnik umysłowy. Ale nie nauczono jeszcze ludzi korzystać z praw rządzących ewolucyami ekonomicznemi, dlatego trzeba rozpowszechniać dotyczące nauki i zwalczać obskurantyzm, gdyż ciemnota jest matką nędzy. Tu zaznaczył p Strauss dobitnie potrzebę handlowych studyów specyalnych, bez których dziś nie można się stać ani dobrym kupcem ani przemysłowcem. Dotychczasowy jednak stan nauk handlowych nie odpowiada całkowicie tej potrzebie i wymaga reformy.

Po kilku innych mowach podzielili się członkowie kongresu na sekcye, poczem udali się na raut do antwerpskiego ratusza, bogatego w oryginalne arcydzieła mistrzów sztuki jak Rubensa, Van Dycka i innych. W ogóle w Belgii panuje ten chwalebny zwyczaj, że miasta starają się skupywać cenniejsze dzieła sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, wyprzedzając pod tym względem galerye obrazów i bogatych amatorów.

W dwóch następnych dniach toczyły się obrady kongresu, które ograniczyły się na tem, że uczestnicy powiadamiali siebie wzajemnie o stanie nauk kupieckich w tych krajach, które reprezentowali. Zasadnicze znaczenie miała jednak dyskusya, która się wywiązała wskutek mowy p. van Ryswycka, burmistrza antwerpskiego. Kreśląc stan oświaty w Belgii, wspomniał van Ryswyck, że np. Antwerpia z 4 milionów swoich dochodów 2½ miliona wydaje na szkoły, że wogóle Belgia stara się szkolnictwo swoje podnieść na najwyższy stopień. Dzieje się to zaś głównie przez rugowanie ze szkół nauk klasycznych, a zastępywanie ich studyami technicznemi i w ogóle naukami praktycznemi. Cechę praktyczności mają na sobie wszystkie szkoły belgijskie. W szkołach realnych nauka rzemiosła, zazwyczaj ślusarstwa, sztukaterstwa, stolarstwa lub introligatorstwa jest obowiązkową, w gimnazyach fakultatywną. Tak samo ma się rzecz w szkołach średnich dla dziewcząt, w niższych i nawet wyższych pensyonatach. Na wystawie w Brukseli wszystkie szkoły belgijskie otrzymały najwyższe nagrody, dyplomy honorowe i złote medale. Pensyonaty klasztorne dla dziewcząt i panien wystawiły tak gustowne suknie, hafty, koronki, wstążki — wszystko wyroby swych uczennic — że w pierwszorzędnych magazynach śmiało na pokup liczyćby mogły.

Owóż na temat poruszony przez burmistrza antwerpskiego wszczęła się dyskusya, w której rozmaici mówcy przemawiali za i przeciw wprowadzaniu nauk kupieckich i przemysłowych do szkół średnich. Ciekawem było, że najżarliwiej przeciwko traktowaniu nauk praktycznych w średnich szkołach przemawiał reprezentant tak pozytywnego *par excellence* narodu, jakim jest Anglia, mianowicie profesor Fabian Ware z Yorkshire. „Wprowadzanie nauk praktycznych itp. do lyceów, gimnazyów, szkół realnych i innych szkół średnich — rzekł prof. Ware — wytworzyłoby z dzieci machiny, pozbawione wszelkiej inicyatywy umysłowej. Przeciwnie należy w szkołach średnich otworzyć poezyi i sztukom pięknym szerokie pole. Uczeń, który się nauczył czytać i pojmować Homera, choćby podług najlichszej metody, uczeń który potrafi z uczuciem zagrać kilka melodyi na fortepianie lub innym instrumencie, jest umysłowo więcej rozwiniętym niż taki, który się nauczył stenografii podług najlepszej metody lub innego mechanicznego rzemiosła“.

Zapatrywania p. Ware znalazły uznanie większości uczestników. W końcu kongres oświadczył się za szkołami handlowemi specyalnemi na podstawie ogólnego wykształcenia, potępił zaś traktowanie nauk handlowych w szkołach elementarnych z uczniami niżej 14 lat.

Kongres zakończył się wspólnym uroczystym obiadem uczestników w sali hotelu Bertram. Następny kongres kupiecki odbędzie się w przyszłym roku w Wenecyi.

Kronika.

Lwów 5 maja.

Jubileusz ks. arcybiskupa Isakowicza. Towarzystwo strzeleckie, pragnąc uczcić jubileusz 50-letniej służby kapłańskiej najprzew. ks. arcybiskupa Isakowicza, przypadający w roku bieżącym, nadało mu godność członka honorowego oraz utworzyło komitet, który się zajmie urządzeniem obchodu jubileuszowego.

Na odbytem wczoraj posiedzeniu tego komitetu uchwalono jubileusz ten obchodzić dnia 8 września i wręczyć Jubilatowi adres z podpisami, które zebrać się będzie w całym kraju. Następnie uchwalono umieścić popiersie czcigodnego Jubilata w archikatedralnym kościele ormiańskim.

Odezwa. Otrzymaliśmy następującą odezwę z prośbą o ogłoszenie: Zapraszam P. T. członków Krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń z obwodu tarnopolskiego na zgromadzenie, które się odbędzie w Tarnopolu w sali Rady powiatowej dnia 11 b. m. o godz. 3 po południu, na którem będzie zdana sprawa z projektu zmiany statutów Towarzystwa uchwalonego przez Radę nadzorczą.

Michał Garapich.

† S. p. ks. biskup-sufragan Jakób Glazer, o którym donieśliśmy wczoraj, urodził się w roku 1836 w Jasienicy koło Krosna, jako syn włościanina. Sześć klas gimnazyum ukończył w Rzeszowie a następnie 2 lata filozofii, w Przemyślu, gdzie roku 1854 złożył świetnie egzamin dojrzałości. Już w gimnazyum rokował najlepsze nadzieje z powodu wielkiej zdolności i pilności. Seminaryum w Przemyślu ukończył w roku 1858 i otrzymał święcenia kapłańskie. Potem udał się do Wiednia i tam złożył egzamin jako doktor św. Teologii, przy czem okazał wielką znajomość nauk i tak świetnie władał językiem łacińskim, że zwrócił na siebie uwagę profesorów. Po powrocie do Przemyśla zamianowany profesorem teologii moralnej, wykładał też później prawo kanoniczne. — Wychował cały szereg znakomitych kapłanów, którymi dziś szczyci się dyecezya przemyska. Wkrótce potem mianowany został kanonikiem gremialnym kapituły przemyskiej, a po powołaniu ks. biskupa Soleckiego na biskupstwo przemyskie, został mianowany biskupem-sufraganem, z tytułem biskupa gabolitańskiego *in partibus.* Na tem stanowisku oddał się pracy z całem poświęceniem. Już jako biskup na żądanie Stolicy świętej wypracował memoryał o kwestyi ruskiej, który zwrócił uwagę Ojca świętego. — W ostatnich latach zaczęła się objawiać u sędziwego biskupa astma i przybrała tak ciężkie rozmiary, że go o śmierć przyprawiła z głębokim żalem całej dyecezyi i społeczeństwa, umiejącego czcić wielkie zalety duszy i serca ś. p. ks. biskupa Glazera.

Dyecezya przemyska ma piękne tradycye. Gdy gdzieindziej poziom wykształcenia i duchowego wyrobienia wyższego i niższego kleru ulegał obniżeniu — z Przemyśla wiał duch inny, wyższy.— Dość wymienić nazwiska ks. Hoppego, Jasińskiego, Szedlewego i takie postacie jak rektor seminaryum ks. Świerczyński, aby wywołać wśród młodszej generacyi księży wspomnienia przewodników niezwykłej nauki, wielkiej gorliwości, poświęcenia i wysokich cnót kapłańskich. Ta tradycya nie uległa przerwie. Ks. biskup Glazer odznaczał się miłością Boga i bliźniego, a zarówno o jego pobożności jak o niezrównanem miłosierdziu opowiadają wiele pięknych i przejmujących szczegółów. Wielka prostota i cnota pokory osłaniała głęboką naukę teologiczną. Dom jego w Przemyślu, przypominający plebanię wiejską, miał coś niezmiernie charakterystycznego. Gromadził on kapłanów, przybywających z dyecezyi, a dziedziniec bywał przepełniony ubogimi. Toteż świeżo zmarły biskup-sufragan wywierał szeroki, choć cichy wpływ na duchowieństwo i na całą społeczność swoją działalnością, cnotami i swem pełnem słodyczy obejściem. Warto, aby kto z współczesnych zmarłemu pracowników w winnicy Pańskiej skreślił żywot świątobliwego Pasterza.

Konkurs na utwór sceniczny, zastosowany do uroczystości mickiewiczowskiej, rozpisuje Towarzystwo „Stella" w Poznaniu. Utwór ma być jednoaktowy, pisany rymowanym wierszem i obejmować 300—400 wierszy. Prace konkursowe nadsyłać należy na ręce dr. Walerego Łebińskiego (Poznań, Wielkie Garbary 50) najdalej do 1 lipca b. r. Nagrody są dwie: sto i pięćdziesiąt marek. Towarzystwo „Stella" postara się o umieszczenie nagrodzonych utworów w pismach poznańskich.

Konkurs rozpisuje rektorat szkoły politechnicznej we Lwowie na posady asystentów przy katedrach technologii chemicznej, matematyki I i matematyki II za wynagrodzeniem 600 zł. na czas od 1 października 1898 do 1 października 1900 r. Termin do 16 czerwca.

Nadszedł sezon dla rubryki kronikarskiej: „świetny magistracie! w mieście tumany kurzu, a beczkowozów nie widać ani na lekarstwo itd." Straszliwie nudną tę rubrykę wznawiamy, lecz bylibyśmy bardzo radzi, gdyby na przyszłość stało się zbędnem przypominać o dławiącym pyle i obowiązku skrapiania ulic.

Ankieta w sprawie robotnic chrześcijańskich zdobywa co dzień nowe szczegóły o stosunkach pracy i życia kobiet, pracujących w różnych gałęziach przemysłu. Dalsze badania robotnic drukarskich wykazały, że w rzędzie najlepiej wynagradzanych stoją pracownice drukarni związkowej, gdyż uczenica pobiera 2 zł., wykształcona zaś nakładaczka od 4 zł. 50 ct. do 5 zł. tygodniowo za 9 godzin pracy dziennej. Za roboty wieczorne osobno wynagradza ta drukarnia po 15 ct. za godzinę, a w dni świąteczne nigdy się tam nie pracuje; w innych niektórych drukarniach płacą za robotę wieczorną od 3 do 10 ct. za godzinę i zatrudniają dziewczątka w wieku począwszy od lat 11. W pewnej drukarni pracują robotnice, gdy robota pilna, 36 godzin z sześciu przerwami jednogodzinnemi, tak, że ani spać nie podobna w tym okresie ani o odpowiedni postarać się posiłek.

Pewna robotnica litograficzna zeznała, że pracuje wraz ze swemi koleżankami $10^1/_2$ godzin dziennie, a po $2^1/_2$ latach pracy zawodowej doszła do 10 zł. miesięcznego wynagrodzenia. Skarżyła się na niesłychaną zuchwałość parobków, zajętych w tym zakładzie.

Zarząd ankiety, pragnąc osiągnąć informacye nietylko ze strony robotnic, lecz i pracodawców, uprasza usilnie wszystkich pp. właścicieli i kierowników takich zakładów, w których pracują kobiety, by zechcieli bądź osobiście bądź listownie opinii swej udzielić i w tym celu zgłosić się do prezesa ankiety, dr. Tadeusza Pilata (gmach sejmowy, biuro statystyczne). Relacye pp. pracodawców stanowią ważny czynnik w pracach ankiety, jak to już komitet przekonał się, porównując nadesłane dotychczas informacye pp. pracodawców z zeznaniami robotnicy danego przedsiębiorstwa.

Rada miasta Przemyśla uchwaliła na pamiątkę jubileuszu cesarskiego utworzyć fundacyę dla nauczycielek szkoły robót kobiecych w Przemyślu, aby zabezpieczyć przyszłość tej szkoły. Fundusz złożony na ten cel, wynosi już 10.000 zł., a nadto zobowiązała się gmina składać przez 10 lat po 500 zł.

Opera lwowska w Krakowie doznała nader przychylnego przyjęcia. Publiczność i krytyka są pełne uznania dla ruchliwości dyrekcyi naszego teatru i dla p. Jareckiego, którego usilna praca ansamble i orkiestrę dostraja do wysokości trudnego zadania, jakie one do spełnienia mają n. p. w operach wagnerowskich. Śpiewacy nasi wogóle bardzo podobali się Krakowianom. Repertuar jest ten sam co był we Lwowie.

Dar. P. Antoni Skrzyński ofiarował na wybudowanie cerkwi w Lutynce 60 złr. Zwierzchność gminna wsi Lutynka prosi nas o zamieszczenie wyrazów serdecznej wdzięczności dla ofiarodawcy.

Odczyty. Józef Kotarbiński zaszczytnie znany literat i artysta sceny krakowskiej, którego przyjazd zapowiadaliśmy przed tygodniem, wygłosi dnia 8 go b. m. w niedzielę o godzinie 12-tej w południe w sali ratuszowej odczyt o Adamie Asnyku.

W sobotę dnia 7 bm. w wielkiej sali ratuszowej wygłosi odczyt Jan Kasprowicz pt. „O ideałach społecznych Adama Mickiewicza". Początek o godzinie $^1/_2$7 wieczorem.

Dr. Eugeniusz Kozierowski zamieszkały w naszem mieście od lat 5, prosi nas o sprostowanie pogłoski jakoby zaprzestał praktyki lekarskiej. Czyniąc temu zadość, powiadamiamy, że praktykuje on nadal, jak dotąd specyalnie w zakresie trawienia (żołądka, jelit i wątroby) i nerek.

Strejk krawców w Przemyślu wybuchł ubiegłego poniedziałku. Czeladnicy żądają podwyższenia wynagrodzenia za robotę od sztuki i unormowania czasu pracy. Majstrowie na razie wstrzymują się od rokowań ugodowych. Z obawy przed ewentualnymi rozruchami, wzmocniono straż na głównym odwachu pogotowiem, złożonem z kilkunastu żołnierzy.

Portrety Mickiewicza. Rocznica Mickiewiczowska obudziła żywy ruch na polu wydawniczem. Wyszło kilka zbiorowych wydań poezyj Mickiewicza, pojawił się także cały szereg portretów wieszcza, wśród których pierwsze miejsce należy się portretowi znanego artysty-malarza p. W. Czechowicza, uznanemu przez syna wieszcza p. Władysława Mickiewicza za najlepszy. Aby ułatwić nabycie tego portretu jak najszerszym sferom wydany on został w małym formacie 20×28 cm. po cenie 25 ct. za egzemplarz. Odbitka ta w niczem nie ustępuje portretowi większemu i posiada wszystkie jego zalety, znakomite, uderzające podobieństwo i twarz wieszcza pełną natchnienia. — Odbitki te nadają się wielce do rozdzielania między lud i młodzież uczącą się, a z pewnością dla każdego będą miłą pamiątką roku Mickiewiczowskiego. Wydawnictwo zajmujące się reprodukcyą tej odbitki oddaje ją komitetom po znacznie zniżonej cenie. Odbitek tych dostarcza i bliższych wyjaśnień udziela „Wydawnictwo artystyczne reprodukcyj heliograficznych we Lwowie, ul. Kleinowska l. 4".

Wystawa plakatów. Aby namalować dobry tj. odpowiadający wymogom nowożytnej reklamy plakat, nie wystarcza tylko dobrze umieć malować. Plakat bowiem jako dzieło sztuki zastosowanej odpowiadać musi pewnym warunkom praktycznym stanowiącym istotę plakatu. Oto ma on być przedewszystkiem tak namalowanym, żeby się oczom obojętnego człowieka narzucał. Ku temu celowi zmierzać ma i kompozycya i rysunek a przedewszystkiem koloryt plakatu. Zdać sobie z tego sprawę musi malarz dokładnie, jeżeli chce namalować dobry plakat. Za granicą zręczność w tym kierunku doprowadzono tak daleko, że powstał tam osobny kierunek malarstwa tzw. plakatowego o zupełnie odrębnych prawidłach malarskich. Twórcą niejako a zarazem najwyższym wyrazem tego działu jest zamieszkały w Paryżu czeski malarz Mucha. Możnaby go nazwać genialnym poprostu na punkcie egzotyczności i obfitości pomysłów, które służą mu za tematy do rozmaitych plakatów.

U nas dotychczas działu tego wcale nie próbowano. Firmy nasze potrzebujące reklamy sprowadzały sobie z za granicy gotowe reprodukcye, umieszczały w odpowiednich miejscach odpowiednie napisy i rozlepiały je po ulicach lub rozwieszały po lokalach publicznych. Dopiero przed kilku tygodniami uczyniono w tym kierunku krok pierwszy. Oto Towarzystwo akcyjne Browarów lwowskich rozpisało konkurs na plakat celem reklamowania piwa swego wyrobu. I stała się rzecz niespodziewana, bo znalazło się aż 26 konkurentów, między którymi figurują nazwiska najlepszych lwowskich malarzy. Jeszcze korzystniej przedstawia się wynik konkursu, jeżeli się weźmie pod uwagę wartość prac nadesłanych na konkurs.

Bezwarunkowo najlepszym ze wszystkich plakatów jest „Zagłoba". Pomijając już rodzimość motywu nie można pominąć tego, że ten plakat naprawdę zachęca do picia piwa. Zadowolenie na twarzy starego szlachcica delektującego się piwem jest uchwycone przepysznie. Twarz doskonale wymodelowana występuje bardzo plastycznie z zielonego koła zwierciadła w stylu empire, które stanowi tło plakatu. Co zaś jest jeszcze wielką zaletą tego plakatu to wielka prostota środków w stosunku do siły efektu. W tych trzech czy czterech kolorach będzie bardzo łatwo sporządzić litograficzną reprodukcyę. Zagłoba, którego autorem jest pan Dembicki otrzymał drugą nagrodę. Projekt plakatu odznaczony nagrodą pierwszą malowany przez p. Tadeusza Kruszewskiego nie ma już tych zalet co Zagłoba. Jest on wprawdzie także dość wyraźny, i ma w sobie moment, żeby się tak wyrazić, piwny, ale jest bardziej skomplikowany i w kolorycie mniej odpowiada wymogom plakatu. Ta dziewczyna przelewająca napój z dzbana w puhar, jest już szablonowa, a co do kolorytu to brak rażących różnic natężenia między poszczególnymi plamami kolorowymi. Bardzo dobrym jest również plakat p. Makarewicza odznaczony trzecią nagrodą. Z poza muru wychyla się ładna dziewczyna z uśmiechniętą twarzą i szklanką piwa w ręku. Z dołu zaś z za ramy obrazu wysuwają się ku niej pożądliwe ręce. Z nagrodzonych dobrym bardzo jest plakat p. Rybkowskiego, posiadający jednak tę wadę, że jest bardzo skomplikowany i przedstawia wielkie trudności dla reprodukcyi litograficznej. Z reszty plakatów zasługują na uwagę: niebieska kelnerka w gorącem żółtem tle, niosąca w obydwu rękach po kilka kufli piwa, para Krakusów, nagi mężczyzna wsparty na dwóch białych tarczach, i srebrna tarcza okolona wieńcem chmielu.

Patrząc tak na całość tej wystawy przychodzi mimowoli na myśl przysłowie, że przecież nie tylko święci garnki lepią. Z dwudziestu sześciu projektów, gorszych i lepszych da się przecież wybrać kilka, które doskonale zastąpią szablonowe etykiety, jakie dotąd sprowadzaliśmy z zagranicy. Uwzględniając zaś to, że to była pierwsza u nas próba, uważać należy wynik jej za znakomity. Krok towarzystwa lwowskich browarów zasługuje na uznanie, a zarazem może być wskazówką dla innych naszych firm, że za te same pieniądze, za które sprowadzają z zagranicy plakaty częstokroć zupełnie nie odpowiadające artykułom, reklamowanym, można mieć u nas plakaty o wiele lepsze, swojskie.

Niesłychana szybkość. Jeden z naszych prenumeratorów z Brzeżan, nie chcąc mieć żadnej przerwy w otrzymywaniu *Przeglądu,* wysłał dnia 1-go maja pieniądze prenumeracyjne z tego miasta do nas telegraficznym przekazem. Telegram ten szedł z Brzeżan do Lwowa od 1-go do 5 go maja i dopiero dziś rano został nam wypłacony. — Nauka stąd taka, że nie należy używać telegrafów w Galicyi, skoro się chce coś szybko załatwić, bo załatwienie będzie tak powolne jak pieszą pocztą, a kosztować będzie znacznie drożej.

Z Monasterzysk nam piszą: Niedaleki już okres czasu dzieli nas od wyboru posła do Rady państwa z kuryi gmin powiatów: Buczacz-Czortków w miejsce ś. p. Horodyskiego. Wybór ten, zapowiedziany, jak wiadomo, na 23 b. m., jest rzeczą wielkiej wagi; albowiem grubo się ten myli, kto mniema, że powiat buczacki nie nadaje się do posiewu zgubnych i przewrotnych knowań. Wprawdzie dotąd usiłowania tych żywiołów nie wydały owoców po ich myśli, głównie może dzięki taktownemu postępowaniu naszego starosty p. Niewiadomskiego, ale należy się mieć na baczności, gdyż w czasie wyboru agitatorzy radykalni z pewnością podwoją swoją gorliwość.

Mamy w naszym powiecie kilka osobistości wybitnych, mających warunki po temu, by godnie spełnić obowiązek poselskiego mandatu z kuryi wiejskiej, odznaczających się cnotą i zasługą, talentem, wiedzą i znajomością rzeczywistego stanu wyborców powierzających mu mandat poselski. Należy się jednak wystrzegać rozstrzelenia głosów. Szlachetny i czcigodny ks. kanonik i dziekan Gromnicki, znakomity mówca, gorący patryota, przyjaciel i opiekun ludu, mający wszystkie warunki na wzorowego posła, zrzekł się kandydatury na rzecz p. Maryana br. Błażowskiego, marszałka Rady powiatowej buczackiej i właściciela dóbr. Krok zacnego ks. kanonika i dziekana Gromnickiego, kapłana idealnego, patryoty i Polaka, powinien stać się dyrektywą dla mieszkańców powiatu buczackiego i czortkowskiego, zwłaszcza, że ród pp. Błażowskich jest znany w kraju całym a w szczególności w tutejszym powiecie z zacności i szlachetności i szczerej a rzetelnej życzliwości dla ludu.

To też mamy niepłonną nadzieję, że tak ludność tutejszego powiatu jako też powiatu czortkowskiego pójdzie za przykładem ks. kanonika i dziekana Gromnickiego i jednomyślnie głos wać będzie na br. Maryana Błażowskiego, który z pewnością nie goni za mandatem z próżności, lecz kieruje się zasadą *pro publico bono* i gorliwie pracować będzie dla dobra tych, którzy mu mandat powierzą. Tym zaś, którzy sieją ziarno nienawiści wśród bratniego narodu, a przedewszystkiem braciom Rusinom, oznajmiamy:

Że odnow my żyjem nadijow
Wspilnoju nam sława,
W nim zariwno myłyj Kijow,
Wilno — i Warszawa.

Odna w Boha Korołewa
Mołyt sia za namy,
Z Częstochowy — z Poczajewa
I z nad Ostrojbramy! *S. Ch.*

Język ruski w sądach. JE. prezydent wyższego Sądu krajowego T c h o r z n i c k i wydał wczoraj rozporządzenie, ażeby wszystkie pisma urzędowe, wystosowane pod adresem ruskich urzędów parafialnych, były odtąd stylizowane wyłącznie w języku ruskim według ortografii fonetycznej.

Konfiskata. Lwowska prokuratorya Państwa skonfiskowała wczoraj nakład pieśni ruskich p. Iwana Franki.

Zmarli. We Lwowie Mikołaj Procyk, likwidator rolniczo-kredytowego banku, lat 39. — W Krakowie Amalia z Bittnerów Jasieńska, wdowa po starszym inżynierze namiestnictwa, lat 78.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 11, w poł. + 14 R. Bar. 766. Nieruchomy. Pogoda, silny wiatr.

Siła wspomnień. (Rzecz dzieje się dnia 29go stycznia b. r. na przedstawieniu „Goplany").

Ona. Pamiętasz, mężusiu, jak rok temu, nazajutrz po naszym ślubie, siedzieliśmy tu, właśnie na tych samych numerach krzeseł?

On. Ależ pamiętam doskonale! i choć to już rok minął, doznaję znów tych samych wrażeń...

Ona. Poczciwy! drogi! kochany mój Zygmuncie!

On. Nie! doprawdy, to nie do wytrzymania, wszak w tem krześle najwyraźniej od roku przeszłego nie naprawiono sprężyny.

Repertuar teatru. Dziś we czwartek i jutro w piątek „Dwaj urwisze", sztuka w 8 odsłonach Piotra Decourcella. W sobotę po południu ostatnie przedstawienie w tym sezonie dla młodzieży szkolnej „Rewizor z Petersburga," wieczorem po raz 1 „Ćmy nocne," dramat w 1 akcie Leona Świeżawskiego, „Pietro Caruso" i po raz 1 „Poczciwiec," komedya w 1 akcie Kazimierza Rojana. W niedzielę popołudniu „Kaśka Karyatyda", wieczorem „Dwaj urwisze". W poniedziałek po raz 1 „Kasia," sztuka Maksa Burckhardta.

Literatura i sztuka.

Dowcip i humor tryskają z ostatniego numeru *Śmigusa,* który opuścił prasy drukarskie dnia 1 maja. Oprócz wybornych rysunków, wykonanych przez znanych naszych artystów, zawiera ten numer dużą wiązankę artykułów, odznaczających się sporą dozą dowcipu i eleganckiej satyry. Świetne jest sprawozdanie pt.: „Pan Daszyński na trybunie", wyborny interwiew ze Szczepanikiem a pełna humoru wierszowana dwutygodniowa kronika, której autor w ten sposób wyraża się o toczącej się obecnio wojnie:

Każdy radby przewidzieć, czyją będzie chlubą
Finał tej uwertury Hiszpańczyków z Kubą?...
Jedni twierdzą, że Grandy, jak wezmą „na grandę",
Powstańcom i Jankesom sprawią sarabandę..
Drudzy już z naszych trafik sąd wynieśli taki,
Że „kuba" się każdemu strasznie da we znaki!..
Dla mnie zaś wynik wojny dziś wierutna bajka,
Bo ja nie dbam o „Kubę"—u mnie grunt Jamajka!
Dobry araczek lubię, a cygar nie palę,
Już co się stanie w Kubie—to nie dbam wcale...
Z „kubanów" także dotąd nie byłem bogaty —
Precz więc z Kubą! — przechodzę na inne tematy.

Z izby sądowej.

Lwów 5 maja.

(*Życie za spadek*)

Oskarżeni o zabójstwo Józefa Pytlika bracia Kobyluchowie wypierają się zupełnie zarzuconej im winy. Wczoraj po południu i na dzisiejszej rozprawie przedpołudniowej przesłuchano cały szereg świadków, chłopów i bab z Glinek, których zeznania bądź są obojętne, bądź dla Kobyluchów niekorzystne. Charakterystycznem było opowiadanie świadka Sopla, który słyszał nazajutrz po śmierci Pytlika, taką rozmowę Fedka i Wasyla Kobyluchów:

Fedko mówił: Oj, bida brate. didko nadnis żyda; szczoby ne win, bułybyśmy kienuły w wodu, taj buwby spokij.

A Wasyl na to: Ne żury sia, Fedku, woźmemo sobi hadwokata, ne pryznamo sia, ta może jakoś Boh daść, szczo ne budemo sydity.

Przesłuchana jako świadek wdowa po zamordowanym Pytliku podejrzywa także Kobyluchów o zamordowanie męża i rości sobie następujące pretensye: za pogrzeb 25 złr., za upadek gospodarstwa 50 złr., za zmartwienie 50 złr., a za utratę męża 300 złr.

Rozprawa trwa dalej.

* * *

Monachium 2 maja.

(*Proces prasowy*)

Maksymilian Harden, jeden z najwybitniejszych publicystów niemieckich, redaktor tygodnika *Die Zukunft,* wychodzącego w Berlinie, stawał przed tutejszym sądem ławniczym z powodu artykułu w nr. 29 *Zukunft* traktującego o chorym na umyśle królu bawarskim Ottonie I; Harden daje wprost do zrozumienia, że naród nie ma najmniejszego obowiązku króla takiego znosić na tronie. Prokuratorya bawarska za powód oskarżenia podaje okoliczność, że artykuł ten „mógł zaniepokoić i zgorszyć szersze warstwy publiczności." Harden bronił się sam, sprytnie i z wielką swadą i usiłował dowieść, że artykuł jego nie ma wcale znamion przekroczenia. Sędziowie jednak nie przychylili się do jego wywodów, a Harden został skazany na 14 dni aresztu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 3 maja.

(Z.). W pierwszem stadyum obrotów dzisiejszych przeważały sprzedaże, które pociągnęły za sobą obniżenie się kursów. Spekulanci zachęceni znaczną zwyżką, uzyskaną w ciągu ostatnich dni, realizowali dziś swe zwyżkowe pozycye, ażeby zgarnąć suty zysk. Pomimo tych sprzedaży jednak ostateczny rezultat obrotów dzisiejszych jest na całej linii dodatni, gdyż zniżka wywołana sprzedażami spekulacyjnemi wyrównana została zupełnie, a nawet przewyższona zakupnami prywatnej klienteli. W niektórych walorach, jak np. w alpinach i akcyach kolei busztiehradzkiej wytworzyła się nawet natarczywa haussa.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 359·50, węgierskie 385 —, Anglobanki 159·—, Uniony 297·50, Bankvereiny 266·75, Länderbanki 230·75, Ludwiki 211·50, Czerniowieckie 298·50, Elbethale 261·—, Renta papierowa 102·05, srebrna 102·—, austryacka złota 121·30, austr. renta wal. kor. 101·85, węgierska złota 121·—, węgierska renta wal. kor. 99.25, dukat 5·66, 20 frankówka 9·54$^1/_2$, marki 11·76—, ruble 1·27$^1/_4$.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Madryt 5 maja. Mówią, że w całym kraju zaprowadzony ma zostać stan oblężenia, gdyż rozruchy szerzą się gwałtownie, do czego nie mało się przyczynia straszna nędza. Rewolucyoniści wytwarzają przez swe organy przygnębiającą atmosferę i straszą ludność widmem głodu. Rozgłaszają, że w wielu powiatach brak wprost chleba do wyżywienia ludności. Nałożono wprawdzie wysokie cło na wywóz zboża z kraju a poczyniono jak najdalej idące ulgi dla importu, ale mimoto importerzy nie kwapią się z dowożeniem zboża do Hiszpanii, gdyż odstrasza ich zły stan waluty hiszpańskiej.

Z tego samego powodu wstrzymują się podobno także importerzy węgla z dostawami, jeżeli zaś zabraknie węgla, wówczas staną wszystkie fabryki i robotnicy zostaną bez pracy. Podobno anarchiści w Barcelonie rozwijają swą agitacyę. Wśród pospólstwa szerzy się pogłoska, że pancerniki amerykańskie ukażą się niebawem na wybrzeżach Hiszpanii i że za ich pojawieniem się proklamowana zostanie rzeczpospolita. Rozpuszczają także pogłoskę, że królowa Krystyna czuje się znużoną rządami i chce ustąpić i że nastanie dyktatura wojskowa. Jako dyktatora wymieniają jenerałów Martinez Camposa lub Polavieja.

Od dwóch dni nie nadeszła tu z wysp Filipińskich żadna wiadomość.

Keywest 5 maja. Eskadra amerykańska zaopatrzyła się wczoraj w węgiel i odpłynęła na pełne morze.

Sąd morski uchwali podobno wydać schwytany parowiec hiszpański „Cataline" jego właścicielom.

Nowy-York 5 maja. Dzienniki tutejsze donoszą, że na ostatniej radzie wojennej postanowiono zniszczyć przedewszystkiem zupełnie flotę hiszpańską, a dopiero potem wysadzić wojsko na ląd kubański.

Londyn 5 maja. Do dzienników tutejszych donoszą z Jamajki, że w mieście Sant Jago na Kubie napadła ludność na tamtejszego konsula angielskiego Ramsdena, którego podejrzywała o utrzymywanie stosunków z powstańcami. Konsul, broniąc się, strzelił z rewolweru i zabił jednego Hiszpana. Uwięziono go za to. Obawiają się, że z powodu tego zajścia przyjdzie do konfliktu dyplomatycznego między Anglią a Hiszpanią. Konsul Ramsden zajmował się rozdawaniem między Kubańczyków wsparć nadesłanych z Ameryki.

Z Lizbony donoszą do „Biura Reutera", że eskadra hiszpańska powróciła wczoraj do Kadyxu i zaopatrzyła się w węgle. Z Kadyxu wyruszyć ma na Atlantyk, wzmocniona okrętami wyekwipowanymi w ostatnich czasach.

Madryt 5 maja. Ambasador angielski przybył tu wczoraj i konferował z ministrem spraw zagranicznych. Konferencyi tej przypisują ogromnie donośłe znaczenie.

Hawanna 5 maja. Pancernik amerykański rzucił w poniedziałek cztery pociski działowe na batalion wojska hiszpańskiego. Wszystkie pociski chybiły.

Rio de Janeiro 5 maja. Okręty amerykańskie „Oregon" i „Marietta" wypłynęły na pełne morze. Przyłączy się do nich trzeci okręt „Nichteroy".

Madryt 5 maja. W kortezach bronił wczoraj Romero Robledo stronnictwo konserwatywne od czynionych mu onegdaj zarzutów i atakował gabinet. Mimo to atoli doradzał utrzymanie jedności między stronnictwami celem uratowania ojczyzny i żądał, aby Sagasta pozostał na czele rządu.

Londyn 5 maja. Do „Biura Reutera" donoszą z San Francisco, że prezydent rzeczypospolitej hawajskiej zrobił Mac Kinleyowi propozycyę, aby Stany Zjednoczone objęły wyspy hawajskie w swe posiadanie, gdyż w ten sposób będą miały punkt oparcia dla swych operacyi wojennych, a okręty ich będą miały gdzie zaopatrywać się w węgiel i żywność.

Wiedeń 5 maja. Austryacka deputacya kwotowa w odpowiedzi swej na nuntium węgierskiej deputacyi oświadcza, że zgadza się na oznaczenie kwoty wspólnych wydatków na przeciąg lat dziesięciu, od 1 stycznia 1899 do 31 grudnia 1908, a zarazem oświadcza gotowość, jakkolwiek niema mandatu do rokowania w tej mierze, popierać w Radzie państwa żądanie węgierskie co do zniesienia praecipuum opłacanego przez Węgry za Pogranicze wojskowe, pod tym jednak warunkiem, że ostateczna kwota płacona przez Węgry na wspólne wydatki zostanie odpowiednio zwiększona.

Nadto oświadcza deputacya austryacka, że ponieważ z nuncyów węgierskich, wręczonych jej w r. 1896, nie można poznać, według jakiej podstawy obliczono wówczas kwotę węgierską, przeto nie dostaje i teraz żadnej podstawy do zbadania, czy kwota obliczona przez węgierską deputacyę, odpowiada sprawiedliwości i istotnym stosunkom. Deputacya austryacka nie może czynić żadnych nowych propozycyi, ale gotową jest prowadzić ustne rokowania w tej sprawie.

Wiedeń 5 maja. Cesarz powrócił dziś rano z Kissingen i zamieszkał w letnim zamku w Schönbrunnie.

Wiedeń 5 maja. (R a d a p a ń s t w a). Na początku dzisiejszego posiedzenia p. D a s z y ń s k i postawił wniosek, aby komisya legitymacyjna odbywała swe posiedzenie jawnie. W imiennem głosowaniu odrzucono ten wniosek 142 głosami przeciw 121.

Następnie przeszła Izba do porządku dziennego, t. j. do dalszej debaty językowej.

Liberał d'E l v e r t żąda zniesienia rozporządzeń językowych i spełnienia żądań niemieckich. Dopiero gdy to się stanie, będą mogli Niemcy powrócić do regularnej pracy parlamentarnej.

P. J a w o r s k i podnosi, że stanowisko Polaków w sprawach narodowych i językowych w Austryi jest historyczne i autonomiczne. Polacy stoją na zasadniczem stanowisku, które zawiera w sobie także deklaracya rządu, tj. że skuteczne rozwiązanie kwestyi językowej nie może nastąpić według jakiegoś szablonu, jednakowego dla wszystkich krajów, lecz tylko z uwzględnieniem stosunków panujących w każdym z krajów monarchii. (Oklaski na prawicy). Mamy nadto i to przekonanie, że rozwiązanie tej trudnej kwestyi najlepiej da się uskutecznić przez porozumienie między szczepami, zamieszkującymi poszczególne kraje monarchii. (Oklaski na prawicy).

Co się zaś tyczy kwestyi, kto jest kompetentnym do ustawodawczego uregulowania spraw językowych, czy Rada państwa czy Sejmy, to oddawna istnieją w tej Izbie dwa prądy. Polacy zawsze byli autonomistami (oklaski na prawicy), tego stanowiska i dziś trzymać się będą. (Oklaski).

Skoro jednak reprezentanci niektórych krajów i narodów wysunęli myśl, że parlament centralny jest powołany do uregulowania sprawy językowej i spodziewają się w ten sposób uzdrowić zagrożony parlamentaryzm, to Polacy, jako prawdziwi zwolennicy życia konstytucyjnego, gotowi są w interesie ludów i państwa, zagrożonego wielce w tej krytycznej chwili, przystąpić, z zastrzeżeniem jednak ich autonomicznego stanowiska, do takiej próby i wziąć w niej czynny udział. (Rzęsiste brawa i oklaski na prawicy).

Po p. Jaworskim zabiera głos liberał F o u r n i e r.

HOTEL ŻORŻA
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 maja. Wern. hr. Schulenburg z Saksonii. JE. Kraus z Wiednia. Pułkownik Lehmann z Tarnopola. Kazimierzowie Wierzchleyscy z Stawczan. Edw. Kański z Hołotek. Ant. Skibniewski z Ulicka. Stan. Osiecimski z Jarosławia. Dr. Ign. Makowski z Romanówki. Iza Rylska z Uhrynowa. Jenerał Brudermann z Tarnopola. Roman Potworowski z Koropca.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 5 maja. T. Jankowski z Genewy. W. Popławski z Krakowa. M. Ujejska z Pawłowa. Rotmistrz Kranz i major Oxenbauer z Trembowli. J. Zieliński z Krakowa. W. Czerwińska z Stanisławowa.

HOTEL FRANCUSKI
we Lwowie, plac Maryacki
W nowym zarządzie, zupełnie odnowiony
(F. G. Proksch).

Przyjechali dnia 5 maja. Pułkownik Dolleschall, kapitan Schmeck, kapitan Mardziński, nadporucznik Szabroth, porucznik Kuffrich, porucznik Jowanowicz, rotm. N. v. Mouillard i nadpor. hr. J. Hoyos z Czerniowiec. Generał-major Freund, podpułkownik Wittmann i kapitan Dürfeld z Złoczowa. G. Hulewicz z Sokala. St. Kotarski z Brzyska. D. Tobias z Rzeszowa. M. Petrykowa z Jodłownik. St. Komornicki z Zawadki. P. Wybranowscy z Czupernosów. Em. Schmidt, K. Appelt, J. Cech, K. Gansterer, N. Eisenschiml, W. Löwy, D. Fleischer, M. Eisler i J. Sinajberger z Wiednia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 5 maja. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztuke: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210.00 do 213.00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 296·00 do 300.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 386.— do 396.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 260.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem. 110.30 do 111.00. 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.35 do 101.65. 4 proc. los. w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.00 do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.30 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·00 do 98.70, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98·40, 4 proc. los. w 56 lat 96.90 do 97.60.

Obligi za 100 zł.. Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·20—98.90, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·75 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.50 do 000·— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj. 6 proc. 102.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 98.20 do 98.90, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.50 do 97.20.

Monety. Dukat cesarski 5.63 do 5.73. Napoleondor 9.50 do 9.60. Półimperyał 9.48 do 9.58. Rubel rosyjski papierowy 127·40 do 128·40. 100 marek niemieckich 58.65 do 59,15.

62)

Przygody francuskiego szlachcica

Z pamiętników Gastona de Bonne, sieur de Marsac

przez

STANLEYA WEYMANA.

Przełożyła z angielskiego Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

— Ja zaś gotów jestem odpowiadać przed p. de Turenne lub przed osobą, występującą w jego imieniu — rzekłem, przenosząc oczy z jednej twarzy na drugą i szukając w nich śladu sympatyi dla siebie; ale oprócz życzliwości i uznania malującego się na obliczu p. de Neüe, dokoła widziałem tylko nieprzychylne twarze.

— Dość tego — rzekł Henryk, podnosząc rękę i przemawiając z powagą i dostojeństwem, które umiał przybrać, w razie potrzeby. — Dziękuję ci, p. d'Aremburg za twoje łaskawe rady. Turenne ma dzielnego przyjaciela i orędownika w waćpanu; ale ten oto jegomość przybył do mnie z własnej woli i otwarcie, i uchybiłbym honorowi, kładąc na niego areszt znienacka. Daję mu godzinę do oddalenia się z mojego obozu. Jeśli po upływie tego czasu, grasować tu jeszcze będzie, sam sobie najgorszy los zgotuje. A teraz, panowie, naprzód. I tak już jesteśmy spóźnieni.

Chciałem raz jeszcze się odezwać, o sprawiedliwość prosić, ale nie znajdowałem słów, ani głosu. Stałem więc, z głową odkrytą, w palących promieniach słońca i błędnemi oczyma patrzyłem na przesuwający się orszak. Gdy znikł wreszcie za bramą, zacząłem odwiązywać Cyda, myśląc, co teraz począć i nie znajdując żadnej rady.

Z odrętwienia obudził mnie głos znany — odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą Szymona Fleix. Pociągnął mnie za rękaw.

— Wskakuj waćpan na konia i w nogi. Niema chwili do stracenia — mówił szeptem.

— Czy ona została u madame Catherine? — pytałem.

— Naturalnie — odparł — nie troszcz się waćpan o nią, myśl o sobie.

Dosiadłem Cyda i bezmyślnie skierowałem go tą samą drogą, która mnie tu przywiodła. Szymon jechał za mną.

— Gdzie się udamy? — pytałem go bezradnie, gdyśmy już obóz minęli.

— Do Saint-Cloud — zadecydował — pod opiekę króla Francyi. Osłoni nas ona, choć przez dni parę, a potem zobaczymy.

Drogę z Meudon do Saint-Cloud na dobrym koniu można odbyć w godzinę niespełna, jakoż przed jej upływem wjechaliśmy w gwarne i ludne ulice. Wszędzie powiewały flagi, zewsząd dolatywały okrzyki: *Vive le Roi!*, zlewające się z odgłosem kościelnych dzwonów. Radość była na wszystkich twarzach, spodziewano się bowiem lada chwila kapitulacyi Paryża i zaprzestania bratobójczej walki.

ROZDZIAŁ XXXIII.

W opałach.

Torowaliśmy sobie drogę powoli wśród tłumów, coraz gęściejszych, w miarę, jak zbliżaliśmy się do głównych ulic. Nagle na jednej z nich, usłyszałem, że mnie ktoś woła i podniósłszy głowę, zobaczyłem p. d'Agen w oknie narożnej kamienicy. Zbiegł natychmiast i prosił mnie serdecznie, abym się zakwaterował w jego mieszkaniu; wskazał Szymonowi stajnię i wiódł mnie do siebie z niekłamaną radością.

Wprowadził mnie do obszernego pokoju, w którym ucztowało grono młodzieńców, a zapoznawszy mnie z nimi, kazał gospodarzowi przynieść wina i nowe nakrycie postawić. Przyznaję, żem był głodny i uczciłem przyjęcie należycie, wpierw przeprosiwszy kompanię, że wchodzę do niej jak intruz i przerywam ciekawą zapewne rozmowę.

Z oczu p. d'Agen czytałem, że żądny jest wieści o damie swojego serca; goście także musieli niezwykłe jego podrażnienie dostrzedz, rozeszli się bowiem szybko. Gdyśmy pozostali sami, p. François zagadnął mnie natychmiast.

— Gdzie ona? Gdzieś ją zostawił, przyjacielu?

— Jest razem z mademoiselle de la Vire, w Meudon, pod opieką Madame Catherine — odrzekłem.

— Czy nie przesyła mi jakiego przychylnego słówka, pytał, zarumieniony.

— Nie wiedziała, że waćpana zobaczę — odparłem.

— Ale... czy mnie wspominała w ostatnich czasach?

— Nie słyszałem pańskiego imienia w jej ustach od dwóch tygodni conajmniej, odrzekłem wesoło — ale pociesz się, młodzieńcze, kobiety mówią najrzadziej o tem, o czem myślą najczęściej. Bądź zatem dobrej myśli. Oprócz wspomnień przeszłości — dość zresztą gorzkich — nie masz czego się obawiać. Trzeba tylko czekać cierpliwie i wytrwale.

— Tak pan sądzisz? — zawołał uszczęśliwiony.

Upewniłem go, że takiem jest moje szczere przekonanie.

Jakże nikczemną jest ludzka natura! Patrząc na radość i budzące się nadzieje w tem sercu młodzieńczem, doznawałem brzydkiej zazdrości i porównywałem nasze losy, nad ich nierównością biadając: on był piękny, młody, bogaty, życie stało przed nim otworem; ja — znękany, osiwiały, nie wiedziałem w którą stronę świata się zwrócić, jak uciekać przed więzieniem, lub bodaj śmierci wyrokiem.

P. d'Agen zawstydził moje niskie samolubstwo, budząc się bowiem z tęsknej zadumy, spytał mnie serdecznie: co się teraz ze mną dzieje i dlaczego do St. Cloud przybywam; a opowieści moich smutnych przygód słuchał z widocznem współczuciem i coraz żywszem zajęciem. Gdym skończył — a tymczasem Szymon konie w stajni umieścił i wszedł do pokoju — p. François oświadczył, że muszę do króla Francyi dotrzeć.

— Nie ma innej rady dodał.

— Po to właśnie przybywam — odparłem.

— Nikt inny ocalić waćpana nie może — mówił, patrząc na mnie frasobliwie. — Turenne ma tu pięć tysięcy ludzi. Wobec takiej przewagi liczebnej jesteś waćpan bezsilnym, jak dziecię.

— Czy tylko król zaopiekować się mną zechce?

— Dziś widzieć go nie możesz. Jest na radzie. Ale jutro skoro świt, trzeba do niego kołatać. Prześpisz się waćpan u mnie. Pachołków moich postawię na straży i sądzę, że nikt cię tu nie wytropi. A teraz pójdę szukać mojego wuja. Gdybym go nie znalazł, czy nikt inny nie może za panem się wstawić?

Pomyślałem chwilkę i byłbym już odpowiedział przecząco, gdy odezwał się Szymon, przypominając życzliwe dla mnie usposobienie p. de Crillon.

— Gdyby on zechciał, mógłby dużo zrobić — podchwycił p. d'Agen — słowo jego wiele u króla waży.

— Sądzę, że zechce — odparłem po namyśle.

— No, to najprzód kołatać będę do wuja, a jeśli odmówi, to spróbujemy do tamtego się udać. Crillon nie boi się nikogo, nawet króla.

Na tem stanęło. Miałem przenocować u p. d'Agen, nie wychylając nawet nosa za okno, on wyszedł dla zajęcia się moją sprawą. Z ulicy wpadał turkot kół i tętent kopyt, wrzawa i zgiełk ludzkiego rojowiska. Stojąc zdala od okna, przyglądałem się gorączkowemu ruchowi. Przed oczyma mojemi przesuwali się księża, dostojnicy duchowni i świeccy, piękne damy, żołnierze i żebracy. W życiu mojem nie widziałem tak licznego zbiorowiska. Rzekłbyś, że cały Paryż wyległ, aby króla o przebaczenie prosić.

Gdy zmrok w zupełne ciemności się zmienił, w świetle pochodni widziałem cały ten tłum, lepiej bodaj niż przed chwilą. Do późnej nocy roiło się ludzkie mrowisko, wołając: „Vive le Roi!“ lub „Vive Navarre!“ Nikt, słuchając tych okrzyków i patrząc na rozpromienione twarze, nie wątpił, że Paryż nazajutrz się podda.

A jednak się nie poddał.

P. d'Agen powrócił około północy i zastał mnie jeszcze siedzącego w ciemnym pokoju przy oknie. Z głosu jego — gdy kazał wnieść światło — poznałem odrazu, że sprawa źle stoi. Przez chwilę milczał, pokręcając wąsika, wreszcie oświadczył mi, że p. de Rambouillet palców w to maczać nie chce.

— Ha! może ma słuszność — zawołałem, nie chcąc bardziej martwić stroskanego tem widocznie młodzieńca.

— Powiada, że dziś wieczorem przyszły takie informacye o panu, że jesteś człowiekiem zgubionym i że ratować pana byłoby szaleństwem; że ktoby się na to odważył, panuby nic nie pomógł, a sobie tylko zaszkodził. Prosiłem wuja, błagałem, ale napróżno. Kazał mi tylko zapewnić pana o swej niezmiennej życzliwości.

— Ha! trudna rada. Pozostaje jeszcze Crillon — rzekłem z wesołością udaną. — Byle tylko można go było gdzie znaleść. Czy p. de Rambouillet nie mówił nic więcej?

— Powiedział, że jedynym pańskim ratunkiem... natychmiastowa ucieczka.

— Z tego widzę, że znajduje, iż moje położenie jest bez wyjścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka hotel Zorża. Zarządca W. Hodak.